NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 14 października 1911. | Nr. 41.

Skandaliczne zajścia w parlamencie wiedeńskim.



Nr. 41 „Nowości illustrowanych“ zawiera: Skandaliczne zajścia w parlamencie wiedeńskim. — Zamach na ministra Hochenburgera w Izbie posłów. — Wojna włosko-turecka. — Zbombardowane miasto. — Włamywacze XX. wieku. — Omnibus automobilowy w Sekwanie. — Oficyanci w walce z drożyzną. — Kolej na manewrach. — Jubileusz i awans komendanta korpusu. — Klasyczne przedstawienie w teatrze lwowskim.

Wobec niezwykłego zainteresowania, jakie wzbudziła drukowana w naszem piśmie świetna powieść **Wacława Gąsiorowskiego** p. t. **„BEM“,** pozyskaliśmy od znanego pisarza **nowy utwór,** którego druk **rozpoczniemy już w przyszłym numerze.** Jest to niezmiernie zajmująca

Powieść historyczna z XIX. wieku, p. t.

„WYGNAŃCY“

stanowiąca niejako **dalszy ciąg „BEMA“,** powieści, która zawarła dźwignięcie się znakomitego generała — epokę krwawą rewolucyi 1830—1831 — walki o niepodległość.

Upadek atoli rewolucyi nie był końcem dziejów „BEMA“, nie był pełną historyą jego zasług, czynów, ani też ostatnim etapem roku polskich żołnierzów.

Na wygnanie, na tułactwo, pielgrzymstwo wyszły tysiące, a między nimi luminarze narodu, wybrańcy, co najprzedniejsi obywatele. Wyszły tysiące w nadziei, że lada godzina wrócą do ziemi ojczystej na nowe boje, na zwycięstwo ostateczne.

I odtąd na obczyźnie niby nowa cząstka Polski się utworzyła — Polski trawionej tęsknotą, żądną planów szalonych, niosącej w ofierze krew swą tułaczą wszędzie, gdzie jeno bitewna zagrała pobudka.

Losy Wygnańców porewolucyjnych, to wtóra część strasznej tragedyi listopadowego wybuchu, to jego ciąg dalszy. Włochy Francya, Portugalia, Turcya, Belgia, Węgry, Hiszpania wreszcie, rozbrzmiewają imionami polskiemi. Bem pod sztandarem węgierskim wtórą zdobywa nieśmiertelność. — Chrzanowski włoskie osiąga wawrzyny, Skrzynecki belgijskiej służy sprawie, ciemna figura Gurowskiego wiedzie do ołtarza infantkę hiszpańską, Iliński jest tureckim dostojnikiem — a syn generała „BEMA“... **Fahreddin basza po dzień dzisiejszy żyje i szczyci się polskiem swem pochodzeniem...**

Treścią **„WYGNAŃCÓW“** jest właśnie ta epoka, zawarta latami 1832—1853 — dola i niedola tych, co walcząc za obce sprawy, własnej bronić pragnęli.

„WYGNAŃCY“ dają obraz nietylko politycznego romantyzmu. — Rycerze, rozbitkowie zapalają młode serca, niecą urok śród niewiast. Jedni giną w sieciach Amora, drudzy na zew hasła, rwą jego więzy, trzeci gardzą nimi...

Powieść, oparta na mnóstwie dokumentów historycznych, daje wspaniały, tryskający życiem obraz tej romantycznej epoki — obraz, któryby zakrawał na jakąś bajkę, gdyby nie był wiernem odbiciem bohaterskiej, a tak drogiej sercu naszemu prawdy dziejowej...

Skandaliczne zajścia w parlamencie wiedeńskim.

(Do illustracyi tytułowej).

Pod złym znakiem rozpoczęła się obecna sesya parlamentu wiedeńskiego. Zaraz na wstępie pierwszego posiedzenia przyszło do burzliwych zajść i bójki w gmachu parlamentarnym — a tak dobry początek został uwieńczony epilogiem w stosunkach austryackich już zgoła niezwykłym, bo strzałami rewolwerowymi i zamachem na ministra sprawiedliwości Hochenburgera w murach i w czasie obrad parlamentu.

Awantury i bójki parlamentarne (zresztą bardzo nieparlamentarne) nie są rzadkością w Austryi. Ostatnie jednak zajścia w parlamencie wiedeńskim — nawet w burzliwych kronikach parlamentaryzmu austryackiego są nowością. Nieraz parlament wiedeński był widownią „dyskusyi“, w której rolę ar-



Zamach na ministra Hochenburgera w Izbie posłów: Sala posiedzeń Izby posłów: (X) oznacza miejsce na 2-giej galeryi, z którego strzelał sprawca zamachu, 1. i 2. — miejsca, zajmowane w czasie zamachu przez ministrów Stürgkha i Hochenburgera.

gumentów spełniały... pięści, a nawet pulpity, ale po raz pierwszy odbyła się tam bitwa pomiędzy posłami a kobietami i dziećmi! Powód do tego dała szowinistyczna polityka Niemców wiedeńskich, którzy postanowili „ratować niemiecki charakter Wiednia“ i zamknęli kilka szkół czeskich w stolicy państwa, o czem pisaliśmy w poprzednim numerze. Jak było do przewidzenia — ten paroksyzm szowinizmu



Wojna włosko-turecka: Szewket-pasza, turecki minister wojny.

niemieckiego wywołał uzasadnione oburzenie wśród Czechów wiedeńskich. Walka narodowościowa czesko-niemiecka wybuchła też z żywiołową siłą zaraz w pierwszym dniu obrad parlamentu. Wyrzucone na bruk ze szkół czeskich dzieci na czele z rodzicami zjawiły się w gmachu parlamentarnym. Deputacya ta, złożona z 300 osób, usiłowała wpierw dostać się przez rampę do sali kolumnowej, ale policya temu przeszkodziła. Wobec tego posłowie czescy wprowadzili ją do gmachu parlamentarnego bocznemi drzwiami.

Gdy o przybyciu deputacyi dowiedzieli się posłowie wszechniemieccy, zapałali strasznym gniewem i postanowili nie dopuścić Czechów do gmachu parlamentarnego. Poseł Albrecht z kilku innymi posłami zaatakował deputacyę, w obronie której wystąpili znów posłowie czescy. W jednej chwili stanęły naprzeciwko siebie dwa wrogie obozy. Poczęto sobie wygrażać, aż wreszcie przyszło do zażartej bójki. Dzieci szkolne poczęły krzyczeć, płakać i wołać o pomoc, bo Niemcy i im nie szczędzili razów. Ostatecznie jednak deputacya pod osłoną posłów czeskich zdołała przedrzeć się do sali kolumnowej. Tam jednakże znowu przyszło do awantur, a w końcu i bójki. Szowinistyczni posłowie niemieccy Wolf, Glöckner, Teufel, Schreiner, Roller, Luksch, Iro i inni wśród piekielnego wrzasku rzucili się na Czechów z okrzykiem: „Za drzwi! Tu ziemia niemiecka! Za drzwi z dziećmi!“ Posłowie czescy Nemec, Prokesz i kilku innych odpierają ten atak. Powstaje bójka, w której posłowie szamocą się, ciągną za bary, walczą na pięści. Niemiec dr. Roller rzucił się na jedną z pań, biorących udział w deputacyi — na pomoc jej pospieszyli inni członkowie deputacyi i zawrzała bitwa na całej linii. Wreszcie hałas sprowadził do sali kolumnowej innych posłów, którzy z trudem zdołali rozdzielić walczących. Zjawił się niebawem dyrektor kancelaryi parlamentarnej, który oznajmił, że prezydent gabinetu gotów jest przyjąć deputacyę czeską, ale nie tak liczną. Wybrano więc z deputacyi 10 osób i te udały się do dra Gautscha, który zapewnił, że w sprawie zamkniętych szkół czeskich w Wiedniu „postąpi ściśle według ustawy“. Dopiero po otrzymaniu tej odpowiedzi zgromadzeni w sali kolumnowej wszyscy członkowie deputacyi czeskiej opuścili gmach parlamentarny.

W ten sposób zakończyła się ta skandaliczna awantura i bójka szowinistów niemieckich z Czechami, ale nie uspokoiło się jeszcze wzburzenie, wywołane temi przykremi zajściami, gdy w Izbie posłów rozległy się strzały rewolwerowe, wymierzone w ministra.

Jak na jeden dzień „pracy parlamentarnej“ to trochę za wiele.

Zamach na ministra Hochenburgera w Izbie posłów.

Izba posłów w pałacu parlamentu austryackiego na Francensringu była w dniu 5 b. m. widownią brutalnego zamachu, który w związku z niedawnemi demonstracyami drożyźnianemi na ulicach Wiednia i zaburzeniami czesko-niemieckiemi, w dniu otwarcia obrad Izby musi być uważany za poważne memento dla rządu, że w społeczno-politycznej organizacyi państwa coś się popsuło i że dla sanacyi istniejących stosunków dotychczasowa opieka rządu i jego organów nie zupełnie okazała się wystarczającą. W walce, jaką ludność pracująca prowadzi z rosnącą jak lawina drożyzną, rząd nie daje jej dostatecznego oparcia, licząc się zanadto z interesami agraryuszów zarówno austryackich, jak węgierskich. Stąd pochodzą godne zresztą najsilniejszego potępienia odruchowe protesty ludności, oraz czyny tak nieobliczalne, jak groźny zamach, który o mało nie pozbawił życia ministra sprawiedliwości Hochenburgera.

Przebieg tego zajścia był następujący:

Socyalistyczny poseł dr. Wiktor Adler rozpoczął właśnie swą mowę nad kwestyą drożyźnianą i krytykował surowość wyroków na ekscedentów wiedeńskich, którzy w dniu 17 września demonstrowali na ulicach stolicy przeciw drożyźcie, gdy wtem nagle mowę jego przerwały cztery strzały rewolwerowe dane z lewej galeryi w kierunku ławy ministrów.



Wojna włosko-turecka: Enver-Bey, głośny przywódca młodoturków, powołany obecnie na stanowisko naczelnego wodza armii tureckiej.

Na szczęście żaden z ministrów i posłów nie odniósł rany. Na odgłos strzału zapanowała w izbie nieopisana panika. Posłowie poczęli się cisnąć do ław ministeryalnych, na których znajdowali się tylko ministrowie Stürgkh i Hochenburger.

Sprawcę zamachu bez trudu ujęto. Był nim 27 letni Dalmatyniec Niegusz Wawrak, stolarz, który przed kilku dniami przybył do Wiednia z Szybeniku w Dalmacyi. Przyznał on się, że strzelał do ministra sprawiedliwości Hohenburgera z zamiarem zabicia tegoż. Powodem czynu była chęć odwetu za surowe wyroki, jakimi sądy ukarały demonstrantów wiedeńskich.



Zamach na ministra Hochenburgera w Izbie posłów: Sprawca zamachu Niegusz Wawrak.



Wojna włosko-turecka: Zmobilizowana piechota włoska w drodze do portu w Neapolu.



Wojna włosko-turecka: Port Preveza na wybrzeżu albańskiem, ostrzeliwany przez eskadrę włoską.

Wawraka w kilka sekund po strzale chwycił za kołnierz kolejarz Rebisch i udaremnił dalsze strzały. Sprowadzony do jednej z bocznych sal, przylegających do Izby poselskiej, Wawrak złożył obszerne zeznanie. Rodzina jego wyemigrowała przed kilkunastu laty z Czarnogóry do Dalmacyi. Jest on dalekim krewnym króla Czarnogóry Mikołaja, który również należy do rodziny Niegusszów.

Niebywały ten w dziejach parlamentu austryackiego fakt wywołał żywe oburzenie przeciw metodzie protestu i walki, stosowanej przez niekarne i nieoświecone żywioły.

Wojna włosko-turecka.

Proklamowana przed kilkunastu dniami wojna włosko turecka ma dotychczas tę charakterystyczną cechę, że doskonale obchodzi się bez... bitew. Dostarcza przytem wiadomości tak chaotycznych i tak sprzecznych, zarówno co do samej akcyi wojennej, jak i sytuacyi dyplomatyczno-politycznej — że daje najzupełniejsze pole do snucia biegunowo różnych horoskopów. Gdy jedne źródła twierdzą stanowczo, iż teraz dopiero wojna się zacznie naprawdę, inne zapewniają o bliskim pokoju. Gdy jeden telegram donosi o zaatakowaniu przez eskadrę włoską tego lub owego portu w Turcyi europejskiej, inny — przyniesie jak najkategoryczniejsze zaprzeczenie tej wiadomości. Świadczy to, iż Włosi posiadają cenną w sztuce wojskowej zaletę: umiejętność utrzymania w tajemnicy swych działań wojennych i zamiarów. To też o dotychczasowym przebiegu wojny możemy sobie wytworzyć bardzo niedokladny tylko obraz. Z chaosu najsprzeczniejszych i wzajemnie wykluczających się wiadomości można jednak ustalić niektóre fakty. A więc przedewszystkiem opanowanie już przez Włochów całego wybrzeża Trypolisu wraz z portami.



Wojna włosko-turecka: Kawalerya włoska.

Jeszcze mętniej przedstawiają się wiadomości o działaniach drugiej eskadry włoskiej, która pod dowództwem ks. Abruzzów rozpoczęła akcyę wojenną na wodach Adryatyku i morza Jońskiego, gdzie ścigała torpedowce tureckie i zaatakowała między innemi port albański Prevezę. Okazało się jednakże, że ta eskadra próbowała rzeczywiście przerzucić akcyę wojenną na półwysep bałkański — pomimo najkategoryczniejszych zaprzeczeń rządu włoskiego. Wysłanie tej eskadry ku wybrzeżom Turcyi europejskiej rząd włoski motywował koniecznością obrony brzegów włoskich przed ewentualnym atakiem floty tureckiej.

Nie ulega jednak wątpliwości, że Włochy miały tu zamiary bardziej wojownicze, którym przeszkodziła jednak interwencya innych mocarstw, a przedewszystkiem Austryi. Na zagarnięcie bowiem Trypolisu przez Włochy, zgodziła się dyplomacya europejska z tym jednakże warunkiem, aby Włochy nie wszczynały kroków wojennych na półwyspie Bałkańskim. To też wiadomość o działaniach eskadry ks. Abruzzów u wybrzeży albańskich wywołała zaniepokojenie i protesty w sferach dyplomatycznych, wobec czego ks. Abruzzów odwołano do Tarentu.

Eskadra włoska do pewnego stopnia spełniła jednak swe zadanie: większe okręty tureckie wyparła do cieśniny dardanelskiej, a flotylę torpedowców tureckich zniszczyła. Okazuje się również — wbrew urzędowym zaprzeczeniom włoskim, mającym na celu uspokojenie dyplomacyi europejskiej — że wiadomość o bombardowaniu przez eskadrę włoską kilku portów albańskich była prawdziwą. Atak włoski na Prevezę, który omal nie doprowadził do zatargu włosko-austryackiego, według nadchodzących obecnie wiadomości miał przebieg następujący. Eskadra włoska spostrzegła na pełnem morzu kilka torpedowców tureckich.

Rozpoczęła się żywa wymiana strzałów. Niebawem dwa okręty tureckie stanęły w płomieniach i zatonęły. Okręty włoskie nie poniosły żadnej szkody, spostrzegły jednakże parowiec, który bez flagi płynął całą siłą pary i zdołał schronić się do portu w Prevezie. Eskadra włoska w pościgu za tym statkiem skierowała ogień działowy na Prevezę. Bombardowanie to, które w porcie uszkodziło kilka parowców, nie wyrządziło jednak w mieście znaczniejszych strat.



Wojna włosko-turecka: Mahmud V., sułtan turecki.



Wojna włosko-turecka: Król włoski Wiktor Emanuel III.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

21)

Byli i tacy, którzy domagali się, aby puszczono się w pogoń za uciekającą zwierzchnością, kilku nawet siadło na pociąg i ruszyło ku granicy, ale niebawem wrócili nic nie zdziaławszy, a natomiast przynieśli niewesołą wiadomość, że rząd znaczne siły ze wszystkich stron nagromadza, by rewolucyjno-socyalną rzeczpospolitą w X. za jednym zamachem zgnieść.

Wiadomość ta wywołała jeszcze większy popłoch. Pozostałe dotąd w Y. damy z obciętymi włosami, nazwane przez Antka „nihilistkami“ i głoszące wolną miłość, znikły nagle pewnego pięknego poranku. W X. zostali tylko żydzi, których rzeczpospolita nic a nic nie obchodziła i ci, którzy albo z braku funduszów, albo dla innych przyczyn uciekać nie mogli. Za to tak zwana „bojówka“, czyli siła zbrojna nowej rzeczypospolitej, złożona z ludzi młodych, wierzących w możność istnienia rzeczypospolitej socyalnej, postanowiła bronić jej całości do ostatniego tchnienia i przygotowywała się do walki śmiertelnej za swe ideały.

Wśród tego wszystkiego w Górach pędzono życie spokojne, ale smutne. Choroba Antka była groźna i niebezpieczna, rozwinęło się silne zapalenie mózgu, a przy nim majaczenie nieustanne. Trzeba go było ciągle pilnować, bo się zrywał, odpychał od siebie jakieś widma, płakał, zaklinał się, że nie on winien śmierci Jasińskiego. Niekiedy wyciągał ręce tak, jakby się niemi zasłaniał, zimny pot okrywał mu czoło, oczy przybierały wyraz straszliwego przerażenia i głosem chrapliwym, z głębi piersi się dobywającym, krzyczał:

— Idzie! już idzie? czego chcesz odemnie? Krew mu z głowy tryska, blady, śmiertelnie blady... o! o! o! przebacz, przebacz mi, nie męcz mnie!

Trzeba go było ciągle pilnować, bo w takiej wizyi wyskakiwać chciał z łóżka i biedz gdzieś, uciekać przed widmem własnej chorej wyobraźni. Tu Anielka, zapominając o emancypacyi kobiet, za którą niedawno chciała walczyć i życie nawet jej poświęcić, stała się dawną, dobrą, słodką kobietą, czuwającą pilnie i bacznie nad swym nieszczęśliwym narzeczonym. Po całych dniach i nocach siedziała przy jego łóżku, nie śpiąc, nie jedząc, nie chcąc o niczem innem myśleć, niczem innem się zajmować. Gdy jej opowiadano o wypadkach w X., o rozprężeniu, jakie panowało w nowej rzeczypospolitej, słuchała tego obojętnie i odpowiadała:

— A! co mnie to wszystko obchodzi! dajcie mi pokój.

Parę dam z ostrzyżonymi włosami, onych „nihilistek“ w przydeptanych i zabłoconych trzewikach, uciekając z X. przybyło do Gór, aby zasięgnąć rady i pomocy od swej przewodniczki, za jaką uważały Anielkę. Uwiadomiona o tej wizycie, nie chciała ich przyjąć i z gniewem, oburzeniem wołała:

— Nie chcę ich widzieć, nie chcę! Niech sobie idą na złamanie karku. Niech mi dadzą pokój, nie chcę o niczem wiedzieć.

Zbladła, schudła, zmizerniała i chodziła po pokoju chorego jak senna mara, na pół nieprzytomna, zasłuchana w oddech Antka, zapatrzona w jego twarz bladą, znamieniem śmierci naznaczoną. Sama mu podawała lekarstwa, sama lodem obkładała mu głowę, pełniła przy nim wszelkie posługi, nie pozwalając nikomu wyręczyć się w tym względzie. Sypiała ubrana, na fotelu, a mimo znużenia i wyczerpania sypiała tak czujnie, że na najmniejszy szelest, na najmniejszy ruch chorego zrywała się na równe nogi. W napadach halucynacyi Antka, które zwykle przypadały w nocy i we dworze wszyscy spali, gdy ten zrywał się i wpatrywał w ciemny kąt pokoju wzrokiem przerażonym, Anielka drżąc i oglądając się trwożliwie, szła do łóżka i starała się słodkiemi, cichemi słowami uspokoić chorego. Nachylając się nad nim, szeptała pieściwie:

— Antoś! tu nikogo niema, to ja jestem przy tobie, Anielka, twoja narzeczona. O! mój drogi, mój jedyny, uspokój się!

I czasem ten cichy, pieszczotliwy szept uspakajał chorego, choć Anielka po każdym takim paroksyźmie, przerażona widziadłami, zdenerwowana, sama o mało nie krzyczała z trwogi. Trzeba było całej siły woli w tej dziewczynie, by nie budzić innych, nie wołać pomocy.

A ci inni także posępne i niespokojne pędzili życie w starym domu w Górach. Matka Anielki, pani Magdalena Schmid, podobna w tym względzie do swej patronki, oddała się pokucie za grzechy młodości. Nie żałowała wcale zabranych jej przez bandytów pieniędzy i mówiła:

— Dobrze się stało. Pan Bóg tak chciał i niech



Teraz leżała Anielka w swej ciemnej sukni na ziemi, krwią zlana.

będzie imię Jego pochwalone. Nie chcę pieniędzy, nic nie chcę. Za moje grzechy winnam chodzić w łachmanach żebraczych, we włosiennicy. Po całych dniach nie wychodziła ze swego pokoju, niczem się nie zajmowała, tylko klęcząc przed obrazem Matki Boskiej modliła się i zalewała łzami. Wskutek tego zapanował wielki nieład we dworze. Służba robiła co chciała, a właściwie nic nie robiła, tylko rozprawiała o tem, iż nadszedł czas, że nie będzie panów i służących, bogatych i biednych i że dwór i majątek w Górach pójdzie między nich do podziału. O śniadaniach, obiadach nikt nie myślał i gdyby nie stara Rozalia, która od dziecka służyła we dworze, nie ugotowała jakiej zupy i nie usmażyła kawałka mięsa, nie byłoby co jeść, bo kucharz i kuchciki siedzieli w X. i rozprawiali o urządzeniach nowej rzeczypospolitej.

Stanisław też wpadł w paroksyzm swego pesymizmu i zupełnego zniechęcenia i także niczem nie chciał się zajmować i o niczem myśleć. Gadał, że wyjedzie, że ucieknie z tego piekła, osiądzie w jakim zapadłym kącie i czekać tam będzie śmierci, która nakoniec wcześniej czy później przyjść musi i lodowatą rękę na nim położy. Po całych dniach siedział w fotelu, zagłębiając się w ponure myśli o śmierci, o znikomości życia i wszelkich zabiegów ludzkich. Na uwagi Orczykiewicza i stryjaszka Józefa, którzy nieustannie zasięgali wiadomości o tem, co się dzieje w X. i domagali się, by wobec zbliżających się wypadków i katastrofy coś przedsięwziąć, Stanisław odpowiadał:

— Na co się to wszystko zdało? Śmierć zawsze nas czeka. Czy wcześniej, czy później, to na jedno wychodzi.

I tknięty jakiemś współczuciem dla stryjaszka Józefa, gadał:

— Czemu stryjaszek tu siedzisz? czemu nie jedziesz na Litwę?

— Taj, serceż ty moje — odpowiadał pan Józef — jakże mnie to uciekać, kiedy tu grozi tobie, Antkowi i Anielce niebezpieczeństwo. Ja, serdeńko, jestem twardy Litwin i przyjaciół w nieszczęściu nie opuszczam.

I wyprostowawszy się dumnie, głosem śpiewnym, przeciągając akcent, zadeklamował:

Z okiem wlepionem w nieprzyjaciół szaniec
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

— Ale cóż nam stryjaszek możesz dopomódz? Narażasz się tylko na niebezpieczeństwo niepotrzebnie.

— Taj niewiadomo, co będzie, a taki wstydby było mnie okruteczny, gdybym was w niedoli opuścił i stąd uciekł. Litwa, braciaszku, nigdy nie uciekała. Uciekinierstwo, to koroniarska, nie litewska rzecz! Hi! hi! hi!

I został. Codzień puszczał się w kierunku miasteczka X. by, jak mawiał, zasięgnąć języka; porobił tam pewne znajomości i wdawał się z nimi w rozmowy, a gdy wymyślano na przewodników, którzy haniebnie uciekli, uśmiechał się i gadał:

— Ta cóż, serdeńko, tego należało się spodziewać. Ot, młody jesteś, braciaszku i nie znasz ludzi. Gdybyś ich znał, a zwłaszcza żydków Litwaków, tobyś wiedział, co oni warci. Ten Srulowicz Mojsiejew, na którego tak narzekacie, taż to Litwak. Znam ja ich, znam. Mało to ich w Ihumeniu!

I śmiał się, a wracając do domu, powtarzał sobie:

— Mgławica! mgławica! Bóg jeden znawszy, jakie ciało nowe z niej się utworzy.

On jeden zresztą jaki taki ład i porządek we dworze w Górach utrzymywał, bo Stanisław do niczego się nie mieszał. Codzień rano stryjaszek szedł do starej Rozalii do kuchni i z nią radził o śniadaniu i obiedzie, pytał, co robi kucharz i kuchciki, z uśmiechem wysłuchiwał narzekań i wymyślań Rozalii na wszystkich, którzy przyczyniali się do rozprzężenia, panującego w okolicy.

— Chyba świat, wielmożny panie, się kończy! — gadała Rozalia.

A stryjaszek Józef uśmiechał się dobrotliwie i mówił:

— Nie, serce, świat się nie kończy i nie skończy nigdy, bo świat jest dziełem Boga, a dzieła Boskie są nieśmiertelne. Świat toczy się swoją koleją, a głupstwo ludzkie nawet trawce nie przeszkodzi rosnąć tak samo, jak przed tysiącami wieków rosła. Hi! hi! hi! głupstwo ludzkie, moja Rozalio, takoż jest nieśmiertelne.

Chodził też do Orczykiewicza, opatrywał z nim konie, krowy i owce, bo większość służby folwarcznej także się rozbiegła, a Wojtek Macherzyna i Józefka Podkówna, dotąd pełniąca obowiązki dojki, przenieśli się do X., gdzie podobno wybitną odgrywali rolę. Słowem, stryjaszek Józef był duszą żywiącą w tem opuszczeniu, w jakiem znajdował się stary dwór w Górach.

Ale w tych wycieczkach i zabiegach codziennych zdarzyło się, że stryjaszek przemókł raz do nitki na deszczu i nogi przemoczył, a choć gadał, że jest twardy Litwin i w powiecie ihumeńskim po bagnach się włóczył za „cieciorkami“, jednakże zakatarzył się mocno i pewnego dnia musiał siedzieć w domu, ile że pogoda była pochmurna i dżdżysta.

Ubrany w szlafrok, niegdyś turecki, teraz spłowiały i zniszczony, w fez turecki z pięknym chwastem z tyłu, w pantofle włóczkowej roboty, mocno spłowiałe, kto wie, może dar pięknej Cecylii, o którą przed laty kilkudziesięciu pogniewał się był z bra-

tem Teodorem, siedział w swym pokoju, patrzył na deszcz, na przemokłe drzewa ogrodu, ziewał i nudził się okropnie. Z niezbyt licznej i zaniedbanej biblioteki brata Teodora, w której myszy gospodarowały samowładnie, przyniósł sobie obszarpany romans pani Radcliffe, p. t. „Puszcza, czyli opactwo Saint-Claire“ i rozczytywał się w nim, zrazu dość niechętnie, ale powoli, zainteresowany romantycznemi a zarazem dramatycznemi przygodami bohaterki romansu i tajemniczemi skrytkami opuszczonego opactwa, zagłębił się w nim, zapomniał o rzeczypospolitej w X. o głupstwie ludzkiem, o deszczu i nudach, a tylko czytał i czytał.

We dworze panowała cisza. Anielka siedziała przy chorym Antku, który miał się lepiej i doktor wczoraj zapewnił, że wyjdzie z tej choroby, z czego uszczęśliwiona i spokojniejsza, usiadła w wielkim fotelu i drzemała. Pani Magdalena Schmid modliła się jak zawsze i kajała za dawne grzechy, a Stanisław chodził po wielkiej sali z kąta w kąt i myślał i łamał się ze sobą, i chciał coś przedsięwziąć i porzucał te zamiary, nowy Hamlet polski, zabarwiony pessymizmem, który jak rdza przeżerał mu nerwy i wolę.

A jednak było o czem myśleć, bo już wczoraj wieczorem doszła do Gór wiadomość, że znaczna siła wojskowa, złożona z piechoty, jazdy i paru armat zbliża się do X. i w sąsiednim, o dwie mile oddalonem miasteczku, stanęła. Że stryjaszek Józef, zaczytany w przygodach romantycznej bohaterki, zapomniał o tem, nie było nic dziwnego. W swem życiu, przepędzonem od wczesnej młodości w zapadłym kącie powiatu ihumeńskiego, bardzo mało czytał, ile, że nie było tam co czytać, więc teraz dostawszy do rąk książkę, która opisanemi awanturami młodej i oczywiście pięknej panny, zajęła go mocno, nic więc dziwnego, że zapomniał o tem, co się dokoła niego działo i dziać mogło. Nie było też nic dziwnego, że o tych rzeczach nie myślała Anielka, dla której cały świat zamykał się w pokoju Antka; nie myślała też i jej matka, zajęta jedynie sprawą zbawienia swej grzesznej duszy.

Ale Stanisław, który był panem domu, powinien był o tem myśleć, ile że otrzymał najszczegółowsze wiadomości o gotujących się wypadkach. Jednakże i on zapomniał o wszystkiem, bo napadł go właśnie paroksyzm zniechęcenia, a przytem gadał sobie:

— Co mnie to może obchodzić i w czem cała ta sprawa może mnie dotyczyć. W niczem nie brałem udziału, a zresztą, co ja poradzę? Niech się robi, co chce!

Chodził więc po sali z kąta w kąt, wujaszek Józef rozczytywał się namiętnie w romansie pani Radcliffe, Anielka drzemała w pokoju Antka, pani Magdalena modliła się do Matki Bożej o miłosierdzie nad jej grzeszną duszą, i cisza była w starym dworze w Górach, że słychać było brzęczenie każdej muchy i monotonny plusk kropel deszczu, spadających z liści wielkiej lipy pod oknami.

Wprawdzie od czasu do czasu dawał się słyszeć głuchy huk, jakby oddalonych strzałów, ale że następowały znaczne przerwy zupełnej ciszy, nikt we dworze nie zwracał na to uwagi i nie myślał o zbadaniu przyczyny tego podejrzanego huku.

Dopiero, gdy ten huk stawał się coraz częstszy i coraz wyraźniejszy, Stanisław przestał chodzić po sali, nadstawił uszów i podszedł do okna mówiąc sobie:

— Co to? zdaje mi się, że strzelają.

Ale z okna nic nie było widać. Okolica cała była zamglona od deszczu, który acz nie padał teraz, ale zmoczona ziemia parowała i wszystkie przedmioty pokrywała białą, nieprzejrzaną płachtą. A przytem drzewa rosnące koło drogi, prowadzącej do dworu, zasłaniały zupełnie dalszy widok.

Huk jednak wzmagał się ciągle i co gorsza widocznie zbliżał się ku Górom. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że strzelano. Co prawda strzały te nie były zbyt gęste, padały pojedynczo, ale grzmiały ciągle, a zatem nie polowano, jak zrazu myślał Stanisław. Widocznie coś niedobrego się działo w pobliżu dworu.

Jeszcze Stanisław stał przy oknie i rozmyślał, co ma uczynić, czy wyjść i zobaczyć co się to dzieje, czy też zostać w domu, bo ostatecznie, co to mogło go obchodzić, że tam ktoś na jego gruntach strzela, gdy nagle spostrzegł Orczykiewicza, biegnącego co miał sił do dworu. Stary był z gołą głową, wymachiwał rękami, oglądał się trwożliwie i w ciężkich swych butach stąpał tak głośno, że słychać było jego kroki w sali.

Stanisław wyszedł zatem do sieni, by się dowiedzieć, czego chce Orczykiewicz, i gdy spojrzał na twarz starego owczarza, odrazu się przekonał, że stało się coś nadzwyczajnego. Orczykiewicz bowiem miał włosy rozwichrzone, maleńkie oczy błyszczały mu wyrazem trwogi śmiertelnej, a pierś wzburzona nie mogła uchwycić powietrza i nie pozwoliła mu na razie wyrzec słowa.

— Co się stało? — spytał gorączkowo Stanisław.

Upłynęło kilka chwil, które wydawały się Stanisławowi wiekiem, taki go ogarnął niepokój wobec coraz silniej huczących strzałów, nim Orczykiewicz odzyskał mowę.

— Biją się! — syknął nakoniec, padając na pół omdlały na ławę.

— Kto się bije? — pytał Stanisław.

— A ci z X. z wojskiem... harmaty... kozaki... piechota. O laboga! laboga!

Zatoczył się na ławie, jakby się chciał położyć i chwycił się oburącz za głowę. Stanisław, wobec tej starczej bezsilności i trwogi, odzyskał odrazu zimną krew i rzekł:

— Czego Orczykiewicz jęczy? więc cóż, że się biją? Niech się biją. co to nas obchodzi?

Ale Orczykiewicz na te słowa zerwał się z ławy i zawołał:

— Co wielmożny pan gada, oni tu idą...

— Jakto tu idą?

— A tu, do dworu. Chcieli uciec do lasu, ale im kozaki zaskoczyli i gnają ich tutaj, do dworu.

Huczące rozgłośnie teraz strzały, a nawet jakaś zabłąkana kula, która ze świstem i trzaskiem zadudniła po dachu, przekonała odrazu Stanisława, że Orczykiewicz ma racyę, i że bezpośrednie niebezpieczeństwo zagraża dworowi i osobom, w nim znajdującym się, boć przecie w gorączce walki nikt nie jest w stanie rozróżnić winnego od niewinnego.

Orczykiewicz padł raczej niż usiadł znowu na ławie, jęcząc swoje o laboga! laboga! i od tego przerażonego starca nic więcej dowiedzieć się nie można było, więc Stanisław chcąc się naocznie przekonać, jak się w istocie rzeczy mają, wyszedł na ganek, a stąd na dziedziniec dworski. Nie było tu już bardzo bezpiecznie, bo kule z głuchym świstem poczęły przelatywać, strącać liście z drzew, zaorywać się w piasek ścieżki. Mimo to Stanisław poszedł dalej i stanąwszy przy ogrodzeniu dziedzińca, skąd obszerny roztaczał się widok na drogę do X. i pola, w tej chwili pokryte dojrzewającem już zbożem, zobaczył zdumiewające zaiste i niezwykłe widowisko. Garstka młodzieńców, licząca może kilkunastu ludzi, ubranych z miejska w kurtki i kaszkiety, z wyglądu należąca do klasy roboczej, cofała się wolno przed naciskającem je wojskiem, dając nieustanne strzały z rewolwerów i karabinków. Nie mogąc dostać się do lasu, do którego pierwotnie widocznie dążyli, bo im drogę do niego zabiegło kilkudziesięciu Kozaków, weszli na gościniec prowadzący do Gór, i tu korzystając z rozłożystych drzew, tworzących piękną aleję, oraz z bujnie wyrosłego żyta, heroiczny i zacięty stawiła opór. Kule szły gęsto, zwłaszcza ze strony piękkroć co najmniej liczniejszego wojska, młodzieńcy zaś strzelali rzadko, ale celnie. Z tem wszystkiem otaczani i ścieśniani coraz bardziej, ustępowali powoli kroku i widoczną było rzeczą, że ostatniem ich schronieniem będzie stary dwór w Górach, do którego wyraźnie dążyli.

Obaczywszy to wszystko Stanisław, gdy mu kule coraz gęściej gwizdały koło uszów, gdy rozległ się brzęk tłuczonych przez nie szyb w oknach dworu, zawrócił i w sieni spotkał się ze stryjaszkiem Józefem. Stryjaszek Józef był ciągle ubrany w swój turecki szlafrok i fez z pięknym kutasem na głowie, ale miał minę groźną i w ręku trzymał dubeltówkę, która od czasu zapowiedzianego napadu bandytów, stale wisiała w jego pokoju.

— Co to się serce dzieje? — spytał Stanisława — czy znowu bandyty?

— Nie stryjaszku, to bojówka rzeczypospolitej walczy z wojskiem. Za chwilę tu będą i nasz dom stanie się areną tej walki.

— Taż serdeńko na to pozwolić nie można — zawołał stryjaszek — jakże to? taż tu są kobiety, chory Antek.

Stanisław uśmiechnął się smutnie i wskazując ręką na wpadających na dziedziniec młodzieńców i odstrzeliwających się ciągle, rzekł:

— Spróbuj stryjaszku nie pozwolić. Akuratnie oni się będą o to pytali.

To rzekłszy najspokojniej otworzył drzwi do sali, przeszedł przez nią i zatrzymał się w swoim pokoju, na pół jeszcze zrujnowanym po ostatnim napadzie Jasińskiego i bezpieczniejszym od pokoi frontowych, bo wychodzącym na ogród. Wszedłszy, usiadł na fotelu i szepnął:

— Otóż i koniec komedyi. Śmierć idzie, straszna śmierć, nieunikniona, nieubłagana śmierć. Pytanie, po kiego licha ja się rodziłem? Czy nie lepiej, nie stokroć rozumniej by było, żebym wcale nie istniał? I na cóż się przyda moja intelligencya? czy powstrzyma głupią kulę lub bagnet rozwścieczonego żołnierza? O nędzo ludzka! o okrutne prawo przyrodzenia!

Zagłębił się w fotel, twarz rękami zakrył i zaczął się wsłuchiwać w grzmiący huk strzałów, we wrzawę napełniającą nagle cichy dotąd dwór wiejski. Po dachu dudniały pociski, jakby grad na niego spadał, szyby z trzaskiem pękały, rozlegały się krzyki, przesuwanie mebli, pojedyncze wyrazy i nawoływania, przekleństwa, nieokreślona wrzawa zaciętego boju.

Jak długo to wszystko trwało, Stanisław nie wiedział i nigdy potem zdać sobie z tego sprawy nie mógł. Siedział nieruchomy, na pół skamieniały, zdecydowany na śmierć, która mu się nieuniknioną wydawała. Wpadł przytem w rodzaj półsnu i zupełnego zobojętnienia, z którego wyrwało go nagłe otwarcie drzwi i do pokoju wpadło dwóch rewolucyonistów z dymiącymi karabinami w rękach, zlani krwią, czarni od prochu. Jednym rzutem oka objęli pokój i zobaczywszy okno, otworzyli je i wyskoczyli do ogrodu, gdzie niebawem w gąszczu zginęli.

Wszystko to stało się tak nagle, że nim Stanisław zdołał się podnieść z fotelu, już obu zbrojnych nie było. Ucieczka ich jednak nagła, trwożliwa świadczyła, że wojsko nakoniec wzięło górę.

Jakoż tak było. Pomimo upartej obrony rewolucyonistów, wojsko wdarło się do środka dworu, a mianowicie do sieni, w której wujaszek Józef, uniesiony zgoła niepotrzebnym animuszem wojennym, nie pytając, kto tu ma słuszność, poczał ze swej dubeltówki strzelać do wojska. Padł też jeden z pierwszych ofiarą tego boju. Skłuty bagnetami, choć walecznie zastawiał się do ostatka dubeltówką, runął na podłogę, a ostatniem jego słowem był wiersz poety:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!

Niestety! nie mógł tej Litwie przynieść tego mniemanego zbawienia, o którem marzył i zginął za sprawę, którą uważał za głupstwo. Tak to los igraszkę sobie robi z ludzi i ich pragnień.

Padła też ofiarą tej szalonej walki Anielka i jej ukochany Antek. Nigdy nie można było dokładnie się dowiedzieć, jaki dramat rozegrał się w pokoju nieszczęśliwego Antka. Jeden tylko z oficerów wspominał, że gdyby Anielka nie była przyjęła wystrzałami z rewolweru wkraczających do tego pokoju żołnierzy, toby krwawej tej katastrofy nie było.

Teraz leżała w swej ciemnej sukni na ziemi, krwią zlana, dzierżąc w jednej ręce wystrzelony ze wszystkich nabojów rewolwer, drugą wyciągając za siebie, jakby chciała zasłonić leżącego poza nią w bieliźnie, z głową owiązaną, Antka. Oboje byli już trupami...

* * *

Z tej strasznej, krwawej katastrofy, której rozgłos szeroko rozszedł się po kraju, wyszedł cało Stanisław, pani Magdalena Schmid i Orczykiewicz, który na samym początku schował się w sieni za wielki, starożytny kredens, gdzie oczywiście nikt go szukać nie myślał. Do ustronnego pokoju pani Magdaleny nikt nie zajrzał nawet, a Stanisław ukazał się dopiero wtedy, kiedy już walka ustała.

Cichy, stary dwór w Górach przedstawiał okropny obraz zniszczenia. Tu i owdzie po pokojach leżały trupy nieszczęsnych młodzieńców, ofiar niezisczonych nadziei. Gdyby stryjaszek Józef był żył, byłby zapewne mówił, że z tej mgławicy, wstrząsanej tak szalonymi dreszczami burz wewnętrznych, nie prędko jeszcze utworzy się odrębne, samoistne ciało i nie prędko potoczy się w nieskończoną mroczną przyszłość...

KONIEC.

Radom-Policzna, maj—wrzesień 1911 r.

Oficyanci w walce z drożyzną.

Drożyzna daje się we znaki wszystkim. Brzemię jej odczuwają dotkliwie nietylko sfery najuboższe, które walczą z niedostatkiem, ale wogóle wszyscy ci, którzy, jak n. p. urzędnicy, żyjąc ze stałych poborów, przez raptowne podrożenie niezbędnych do życia środków, znajdują się niespodzianie w gorszych warunkach materyalnych i nie mogą utrzymać w równowadze swego zwykłego budżetu domowego. A cóż dopiero mówić o tej kategoryi pracowników żyjących ze stałej pensyi, którzy, jak n. p. oficyanci i pomocnicy kancelaryjni, pobierają minimalne płace i nie mogą nawet w normalnych warunkach związać końca z końcem? Dla nich drożyzna staje się najdotkliwszą klęską. To też podczas ostatnich demonstracyi antidrożyźnianych we Lwowie oficyanci i pomocnicy kancelaryjni protestowali przeciw drożyźnie na dwóch wiecach. Mianowicie w sali ratuszowej odbyło się liczne zgromadzenie oficyantów państwowych z całej Galicyi wschodniej, a w sali lwowskiego sądu krajowego radzili nad klęską drożyzny i poprawą swego losu oficyanci sądowi, którzy zgromadzili się w liczbie około 500.

Na zgromadzeniach tych, prócz postulatów służbowych, dotyczących odpowiedniego uregulowania poborów, domagano się od rządu energicznej akcyi w celu zwalczania obecnej drożyzny.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników demonstracyjnego zgromadzenia oficyantów we Lwowie.

Kolej na manewrach.

Podczas tegorocznych wielkich manewrów cesarskich, które, jak wiadomo, odbyły się na granicy galicyjsko węgierskiej, funkcyonowały oprócz „poczty polowej" także „polowe kolejowe kierownictwa transportowe", które miały za zadanie przewieść koleją stutysięczną armię z pola manewrów do miejsc garnizonowych.

Kierownictw takich urządzono dwa. Pierwsze dla armii południowej w Eperjes na Węgrzech, drugie dla armii północnej w Nowym Zagórzu. Kierownictwa te składały się z reprezentantów lwowskiej, krakowskiej i stanisławowskiej dyrekcyi kolejowej, reprezentantów kolei węgierskich, kolei koszyckiej, oraz oficerów wiedeńskiego biura kolejowego.

Urządzone dla armii północnej w Nowym Zagórzu „kierownictwo transportowe" wyprawiło w ciągu 48 godzin przeszło 100 pociągów wojskowych 10 i 11 korpusu. Nadzór nad tą skomplikowaną czynnością służbową sprawowali: radca dworu i dyrektor kolei Rybicki ze Lwowa, radca ministerstwa kolejowego Ortmann wraz z inspektorem Lechnerem, jeneralny dyrektor poczt polowych, radca dworu ministeryum handlu Posch, reprezentant krakowskiej dyrekcyi, inspektor Żurowski, lwowskiej — starszy rewident Reichard, stanisławowskiej — starszy rewident Wierzejski, reprezentant kierownictwa ruchu w Czerniowcach, starszy rewident Suchanos oraz oficerowie wojskowego biura kolejowego Hamböck i Czerny.

Illustracye nasze przedstawiają urzędników i oficerów, przydzielonych do „kierownictwa kolejowego" w Nowym Zagórzu.



Kolej na manewrach: „Polowe kolejowe kierownictwo transportowe" w Nowym Zagórzu: 1. dyrektor kolei Rybicki, 2. radca ministeryalny Ortmann, 3 jeneralny dyrektor poczt polowych Posch.

Włamywacze XX. wieku.

Wielkie wynalazki i zdobycze nowoczesnej techniki położyły swe piętno na wszystkich polach działalności ludzkiej. Pod tym względem niema żadnych wyjątków. Dziś nawet... bandyci i złodzieje korzystają w swym „fachu" ze wszystkich „ulepszeń technicznych". Postęp na każdem polu! Znikły już bandy zbójeckie, napadające z pałkami podróżnych



Oficyanci w walce z drożyzną: Grupa uczestników demonstracyjnego zgromadzenia oficyantów we Lwowie.



Kolej na manewrach: „Polowe kolejowe kierownictwo transportowe“ w Nowym Zagórzu w chwili odjazdu z szefem ruchu Wechslerem (X) na czele.

nocą i w lasach, ale zato mamy teraz (zwłaszcza w Królestwie Polskiem) eleganckich „dżentlemanów“, którzy, uzbrojeni w najnowszą broń, potrafią szybko, gładko i składnie dokonać rabunku w biały dzień i w środku miasta!

Największe jednak znaczenie ma rozwój techniki dla specyalistów włamywaczy. To są istotnie „fachowcy“, którym jedynie znajomość najnowszych zdobyczy techniki umożliwia złodziejskie rzemiosło. Gdy z jednej strony umysł ludzki wysila się ciągle, aby budować jak najbardziej zabezpieczone przed złodziejami kasy ogniotrwałe — włamywacze również idą z postępem czasu i nie ustają w pracy, aby zapomocą tych samych technicznych wynalazków



Jubileusz i awans lwowskiego komendanta korpusu: Jenerał piechoty, Franciszek Schödler, przeznaczony na stanowisko jeneralnego inspektora armii.

udaremniać te zabiegi. Prawdziwa wojna pomiędzy fabrykantami kas a włamywaczami!

Wynikiem tej rywalizacyi jest doprowadzenie do wysokiego stopnia udoskonalenia zarówno budowy samych kas ogniotrwałych, jak i sztuki ich rozbijania, którą można było podziwiać dotychczas na podstawie jej rezultatów t. j. całego szeregu skutecznych włamań. Obecnie jednak możemy bliżej się zapoznać z arkanami technicznymi tej złodziejskiej sztuki. Mianowicie do rąk policyi śledczej warszawskiej dostał się najnowszy, udoskonalony według ostatnich wymagań techniki, aparat do rozbijania kas ogniotrwałych. Aparat ten składa się przedewszystkiem z balonu z tlenem i przyrządu do wytwarzania kwasu węglanego; te dwa gazy zapomocą odpowiednich przyrządów wprowadzane są do „aparatu inż. Danielewskiego“ i tu, po połączeniu, wytwarzają gaz wybuchowy, o temperaturze do 2000° C. Zapomocą tego to aparatu złoczyńca przetapia linie według dowolnego rysunku w zewnętrznej ścianie kasy i bez trudu dostaje się do jej wnętrza.

Z takim to aparatem dostali się włamywacze do jednego z towarzystw ubezpieczeniowych przy ul. Kopernika w Warszawie. Oczywiście dostarczenie na miejsce tak wielkiej maszyny nastręcza częstokroć znaczne trudności. To też, o ile wniesienie jej na miejsce rabunku jest niemożliwe, włamywacze umieszczają aparat w piwnicy i stąd przeprowadzają gaz jedynie przy pomocy dłuższej rury. W danym wypadku aparat cały wraz z narzędziami, jak bormaszyny, wytrychy, dłuta, piły i t. p. znaleziono tuż przy kasie. Wniesiono wszystko w ceracie, którą wraz z pętlami, laskami i t. p. spłoszeni włamywacze zostawili na miejscu.

Illustracya nasza przedstawia właśnie ten najnowszy aparat do rozbijania kas ogniotrwałych i sposób jego zastosowania.

Jubileusz i awans lwowskiego komendanta korpusu.

Corocznie po manewrach jesiennych nastają zmiany na najwyższych stanowiskach w armii austryackiej. Obecnie mają o tyle dotyczyć Galicyi, iż dotychczasowy komendant lwowskiego korpusu, jenerał piechoty Franciszek Schödler, powołany zostanie na jeneralnego inspektora wspólnej armii, jego zaś miejsce zajmie komendant dywizyi piechoty z Krakowa, marszałek polny-porucznik, Böhm-Ermolli.

Równocześnie obchodzi także jenerał Schödler czterdziestolecie swej służby wojskowej. W r. 1871 po ukończeniu akademii wojskowej w Wiener Neustadt wstąpił jubilat jako porucznik w szeregi armii,



Włamywacze XX. wieku: Aparat do rozbijania kas ogniotrwałych.

gdzie szybko posuwał się po szczeblach hierarchii. Z dziewięćdziesięciu akademików, którzy razem z jen. Schödlerem ukończyli studya, pozostaje tylko siedmiu w czynnej służbie, czterdziestu jeden znajduje się w stanie spoczynku, piętnastu wystąpiło z armii, a dwudziestu siedmiu zmarło. Do pozostających w czynnej służbie należą prócz jubilata: obecny minister wojny Auffenberg, szef jeneralnego sztabu Conrad v. Hötzendorf, jeneralny inspektor trenu Feigl, minister obrony krajowej Georgi, jenerał-major Unterrichter i kapitan baron Prohaska.

Jenerał Schödler należy do najzdolniejszych dowódców austryackich, w czasie zaś swego pobytu we Lwowie na tak ważnym i odpowiedzialnym posterunku, taktownem postępowaniem wobec cywilnej publiczności i podkomendnych zyskał sobie ogólne uznanie. Lwów pożegna go też z żalem, ciesząc się chyba tem, że i następca jego, jenerał Böhm-Ermolli w kołach wojskowych i cywilnych, zwłaszcza w Krakowie, potrafił sobie zdobyć ogólną sympatyę.



Omnibus automobilowy w Sekwanie: Autobus po wydobyciu z wody.



Omnibus automobilowy w Sekwanie: Wyławianie zwłok ofiar katastrofy.



Zbombardowane miasto: Piechota włoska.

Omnibus automobilowy w Sekwanie.

Pośpiech jest cechą współczesnego, gorączkowego życia, które wymaga coraz szybszych, ale i coraz bardziej karkołomnych środków komunikacyi. Zwłaszcza na Zachodzie ta pogoń za... szybkością jest powodem licznych wypadków i katastrof, które przypominają nam ciągle, że żyjemy nietylko w wieku pary (ta staruszka pójdzie niebawem na emeryturę), ale przedewszystkiem w wieku benzyny i automobilów. Wypadki automobilowe są bowiem ciągle na porządku dziennym i należą już do zwykłych, niemal codziennych zjawisk. W tych jednak dniach jednakże wydarzyła się w Paryżu katastrofa, która i w obfitej kronice wypadków automobilowych jest rzadkością, a ogromem swym i liczbą ofiar przewyższa wszystkie poprzednie.

W Paryżu kursują omnibusy automobilowe, czyli tak zwane autobusy. Są to olbrzymie wozy, posiadające siedzenia nietylko wewnątrz, ale i na dachu. I właśnie taki autobus, zapełniony pasażerami, wjechał w całym pędzie na jeden z mostów na Sekwanie. Wtem od strony przeciwnej ukazał się drugi pędzący autobus. Szofer, chcąc uniknąć spotkania, skręcił tak nagle, że automobil uderzył o baryerę, przełamał ją i runął do rzeki. Strzelił w górę słup wody i na chwilę olbrzymi automobil zniknął w falach wody. Po upływie paru sekund na powierzchni



Omnibus automobilowy w Sekwanie: Wyciąganie autobusa z Sekwany zapomocą windy.



Zbombardowane miasto: Brama miejska w Trypolisie.



Zbombardowane miasto: Policyanci tureccy na wielbłądach w Trypolisie.

wody poczęli się ukazywać pasażerowie, a wśród nich dzieci. Jeden z pasażerów, ks. Richard, świetny pływak, zdołał uratować pięcioro dzieci. Również i z brzegów pospieszono na ratunek. Jednakże z 40 osób, które jechały automobilem, 17 znalazło śmierć w falach rzeki, a wielu pasażerów skutkiem upadku odniosło ciężkie rany.

Przyczyną katastrofy było niewątpliwie niedoświadczenie szofera, ale zawinił tu przedewszystkiem zarząd miasta, który przy niedawnej zmianie zwykłych omnibusów, ciągnionych przez konie, na autobusy, poruszane siłą motorową, powołał na szoferów ludzi jeszcze w tym zawodzie niedość wykwalifikowanych.

Ilustracye nasze przedstawiają wyławianie ofiar katastrofy z rzeki, wyciąganie automobilu z Sekwany za pomocą windy i potrzaskany autobus po wyciągnięciu z wody.

Zbombardowane miasto.

Trypolis, główne miasto i port kraju tej samej nazwy, zostało „zdobyte" przez Włochów. Nie było to zresztą „zwycięstwo" zbyt trudne. Oblężenie Trypolisu, trwające 6 dni (kapitulacya miasta nastąpiła w dniu 5 b. m.) miało wszystkie cechy wojny — operetkowej. Bombardowanie oblężonego miasta trwało dwa dni, a rozpoczęło się dnia 4 b. m., t. j. z chwilą przybycia pod Trypolis głównego wodza włoskich sił morskich i lądowych gen. Canevy, który zaraz kazał dla postrachu rzucić na miasto kilka pękających bomb. Następnie włoskie okręty pancerne „Roma", „Napoli", „Sicilia", „Francesco Ferrucio", „Garibaldi", „Piza", „Argodat" i inne ustawiły się w linię bojową i rozpoczęły ogień. Ostrzeliwano baterye tureckie, które postanowiły bronić się do upadłego — lecz była to walka beznadziejna, gdyż pociski ze starych dział tureckich nie dosięgały wcale linii okrętów włoskich. Po kilku godzinach bombardowania zamilkły działa w zewnętrznych fortach Trypolisu, wewnętrzne forty podtrzymywały jednak dalej walkę — o ile walką można nazwać beznadziejne wyrzucanie pocisków, które nie dosięgały nawet celu. Pod wieczór, gdy zaczęło się ściemniać, Włosi zaprzestali ognia. Kilka fortów leżało w gruzach — Turcy wyciągnęli z nich jednak działa na wzgórze, z którego znów zaczęli strzelać w stronę eskadry włoskiej, ale silny ogień szrapnelowy i stamtąd zmusił ich do ucieczki. Na tem skończył się pierwszy dzień bombardowania. Gdy w dniu drugim Włosi ponowili bombardowanie — niebawem na fortach tureckich ukazała się biała chorągiew. Trypolis kapitulował! Z okrętów włoskich wysadzono na ląd nieliczne oddziały piechoty, które zajęły miasto. W fortach znaleźli Włosi trzech zabitych i 20 ciężko rannych żołnierzy, których cofające się w głąb kraju tureckie wojska nie mogły zabrać ze sobą. Były to jedyne ofiary sześciodniowej blokady i dwudniowego bombardowania, które w mieście nie pociągnęło żadnych ofiar w ludziach, a w budynkach wyrządziło tylko nieznaczne szkody. Strzały włoskie zniszczyły jedynie latarnię morską i uszkodziły nieznacznie dom gubernatorski (którego illustracyę podaliśmy w poprzednim numerze) oraz kilka innych budynków. Z Europejczyków — jak stwierdza raport konsulów — nikt nie został nawet zadraśnięty i nikt nie poniósł żadnej szkody.

Tak łatwy rezultat pierwszych kroków wojennych wyprawy włoskiej nie przesądza bynajmniej o losach dalszej kampanii. Dwudziestotysięczny garnizon turecki Trypolisu cofnął się bez żadnych prawie strat w głąb pustynnego kraju, gdzie przy pomocy wojowniczych plemion tubylców może zgotować armii włoskiej niejedną przykrą niespodziankę. Wojska tureckie, cofając się, mogą z wielką łatwością zamknąć przesmyki górskie i w ten sposób utrudnić a nawet udaremnić lądowej armii włoskiej dostęp w głąb kraju. A ponadto Turcy znajdą pomoc i oparcie na południu wśród miejscowej ludności mahometańskiej, a zwłaszcza w Tessanie, środowisku nadzwyczajnie potężnej sekty Senussi. Jest to sekta wojownicza, bardzo silna i uzbrojona doskonale, a przytem przepojona fanatyzmem muzułmańskim.



Zbombardowane miasto: Poskramiacz wężów, produkujący się na ulicach Trypolisu.

Senussi, rozciągający faktycznie swą władzę aż do Trypolisu, a przejęci nienawiścią do Europejczyków rozpoczną niewątpliwie „świętą wojnę" z armią włoską na terenie dobrze im znanym, a dla każdej armii europejskiej niezmiernie trudnym. To też wylądowanie wojsk włoskich w Trypolisie i innych portach — jest dopiero zapowiedzią dalszych, o wiele trudniejszych walk w głębi kraju, którego opanowanie będzie niewątpliwie trudniejszą rzeczą, niż bombardowanie portów trypolitańskich.

Tymczasem jednakże Włochy tryumfują. Tanim kosztem okryły się laurem pierwszego zwycięstwa. Illustracye nasze przedstawiają właśnie szereg widoków ze zbombardowanej (na szczęście bez smutnych wyników) i w tak łagodny, prawie bezkrwawy sposób „zdobytej" przez Włochów stolicy Trypolisu.



Zbombardowane miasto: Żołnierze tureccy, biwakujący w Trypolisie.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

12 **Powieść.**

Wstrzymał się nagle.

— Lecz w takim razie należałoby przypuścić, że doktor Jintot jest winowajcą... a tego w rzeczy samej dowieść nie podobna.

— Tak, tak! — mówił sędzia tonem drwiącym. — Według teoryi pańskiej, doktor i jego pacyent pozabijali się wzajemnie!.. Dla mnie niema ona najmniejszego znaczenia... Sekcya dowiodła, że wprost materyalnie było niemożliwem, aby doktor śmiertelnie zraniony sztyletem w gardło, mógł mieć jeszcze dostateczną siłę do uduszenia Emanuela Laborda!

Sempuis zwrócił się nagle twarzą ku sędziemu i rzekł głuchym głosem:

— To też i ja obecnie nie upieram się przy mojem dawnem przekonaniu. Z początku tak myślałem, lecz następnie dowiedziałem się o faktach, które świadczą, że zbrodnia spełnioną została istotnie...

Sędzia zawołał żwawo:

— Ach! i pan się na to zgadzasz nareszcie!... Tak! popełniono zbrodnię!... Lecz kto ją popełnił, jeśli nie pan, ani twój towarzysz Berthaut, ani doktor Jintot?... Kto ją popełnił?... Powiedz! No, powiedz-że, proszę!

Sempuis odparł z mocą:

— Doktora Jintot oskarżać nie chcę, bo nie wiem o nim nic, coby mogło mieć stanowcze znaczenie, lecz nie gwarantowałbym również, że jest niewinnym. Co do nas dwóch, przysięgam, że Berthaut i ja nie jesteśmy winowajcami!... Winowajcę głównego... jeśli nie jedynego... posądzaliście od razu... lecz łzy pięknej kobiety was oślepiły...

Sędzia nie zwrócił teraz uwagi na brak uszanowania w słowach, wymówionych przez starego żołnierza, lecz z gorączkową ciekawością zapytał:

— O kim pan mówisz? Jeśli o kochanku pani Manescault, to jesteś w błędzie...

— Nie o nim... lecz o jej bracie...

— Marceli Robertin! — krzyknęli równocześnie sędzia i dwaj urzędnicy policyjni.

Pomimo tonu powątpiewania, który brzmiał w ich głosach, wszyscy trzej w głębi duszy nie odrzucali bezwzględnie prawdopodobieństwa tego oskarżenia. Zachowanie się brata doktorowej wydawało się im nieraz dwuznaczne, a jego przeszłość — badana tajemnie bardzo ściśle — posiadała skazy, upoważniające do podejrzeń.

Pomimo to Deverrier rzekł tonem surowym:

— Nie wystarcza dla pozbycia się oskarżenia, przerzucać je na kogo innego, zwłaszcza, jeśli się nie dostarcza dowodów.

Sempuis poruszył głową.

— Proszę być pewnym, że nie mówiłbym tego, co mówię, gdybym nie miał dowodów. Przecież, chociaż je mam od pewnego czasu, nie pisnąłem o nich dotąd ani słówka...

— Dlaczego?

— Bo denuncyacye, to nie moja rzecz!... Policya powinna znaleść winowajcę... Tylko obecnie jestem w mojem prawie, bo sam obwiniony, bronić się muszę...

— W takim razie mów pan!

Sempuis spojrzał sędziemu prosto w oczy i rzekł spokojnie:

— Proszę słuchać!

Poczem głosem cichym, lecz pewnym, zaczął opowiadanie, wynik którego pozna czytelnik następnie w dalszym ciągu historyi.

ROZDZIAŁ IX.

W domku leśniczego.

Zbliżała się noc.

Zmrok szybko zapadał w pośród lasu, zaciemniającego widnokrąg. Ludwika Sempuis, w zajmowanym przez siebie pokoju na piętrze w domku leśniczego, odrzuciła precz od siebie, jak mogła najdalej, stare, zmięte i zbrukane dzienniki, których już czytać nie mogła przy niknącem świetle. Po dziesiąty raz może zapoznawała się z treścią ponurego dramatu kolonialnego, w którym mąż jej, Mikołaj Sempuis, odgrywał rolę główną. W pierwszej chwili, po znalezieniu w walizce akcyi, należących do Emanuela Laborda, nie zauważyła tych starych gazet i pozostawiła je w szafie, myśląc, że służyły tylko do owinięcia pliki papierów wartościowych. Znalazła je później, przypadkiem, po widzeniu się z Juliuszem Varin i doręczeniu mu walizki, po którą przyszedł z polecenia komisarza Guillaume'a. Dziwaczne tytuły dzienników, wydawanych w Indo-Chinach, zwróciły na siebie jej uwagę.

Zaledwie przeglądać je zaczęła, poraził jej wzrok portret Mikołaja i umieszczone pod nim jego nazwisko. Wstrząśnięta do głębi nagłem odkryciem, przeczytała pospiesznie jeden artykuł po drugim, czując jak krew w jej żyłach mrozi przejmujące zimno, napełniając duszę przerażeniem i wstrętem. Przekonaną była, że Mikołaj popełnił podwójne morderstwo w zakładzie dla obłąkanych, lecz poznanie jego dawnej zbrodni wzbudziło w niej dla niego stokroć głębszą odrazę i nienawiść.

Zabił kobietę, którą kochał!... Swojemi zbójeckimi rękami udusił istotę słabą, ufającą mu, pozbawioną obrony, nie mogącą, w walce z nim, przeciwstawić równej siły jego ohydnemu okrucieństwu.

Drżała całem ciałem na wspomnienie o nocach, w ciągu których, jakby na wylot przeszyta okropnem przeczuciem, trzęsła się ze strachu, leżąc przy uśpionym, spoczywającym obok niej mężu... Ileż to razy budziła się niespodzianie, wyobrażając sobie, że go widzi groźnego, dzikiego, wyrzucającego jej niewierność, zrywającego się z łóżka i dławiącego ją kościstemi palcami!

Po stokroć razy roiła, pełna trwogi, że ją zabije!... A myśl, że ją udusi, nawiedzała ją ciągle! W tej chwili nawet, w zapadającej ciemności, zdawała się dostrzegać pochylonego człowieka o srogiem obliczu, z rękami zaciskającemi się około szyi kobiecej...

Czyjej?... Może tamtej... a może jej własnej...

Lekki szmer wstrząsnął nią od stóp do głowy, napełniając serce nową, nagłą obawą.

— Kto tam? — spytała drżącym głosem.

Nikt nie odpowiedział.

Potykając się co krok, podbiegła do stołu. Macając po nim niezgrabnie rękami, znalazła zapałki i zapaliła lampę. Lecz blady płomień małej lampki nie uspokoił jej wcale. Zdawało się, że zewnętrzne ciemności zwiększyły się jeszcze, a słabe światełko nie mogło rozproszyć ciężko i powoli snujących się pod ścianami mar, wytworzonych w halucynacyjnym obłędzie, przez rozgorączkowaną jej wyobraźnię.

Przystąpiła do drzwi z zamiarem zejścia na dół, gdzie sądziła, że znajdzie przynajmniej żonę leśniczego... Nie lubiła towarzystwa tej kobiety małomównej i wiecznie nadąsanej, lecz tym razem wszystko zdawało się jej lepszem i milszem od samotności... Chciała podnieść klamkę... lecz uczuła opór.

Co to znaczy?... Czyżby ją zamknięto?... To przecież niemożliwe! Raz jeszcze spróbowała, lecz znowu napróżno... Odsunęła się więc zalękniona. Zrozumiała, że jakaś ręka za drzwiami przytrzymuje klamkę.

Blada jak trup, okropnie przerażona, cofała się i cofała aż w głąb pokoju. Zwiększone strachem oczy zwróciła na drzwi, które — ona to wiedziała — otworzą się za chwilę, a w nich się ukaże widmo, którego obawiała się najbardziej.

Mijały sekundy niewypowiedzianego niepokoju. Ludwika, plecami oparta o ścianę, słyszała bicie własnego serca w piersi i czuła, jak jej lodowacieją ręce i ramiona...

Nagle jękła z cicha...

Posłyszała jakiś zgrzyt... jakieś skrzypnięcie... I powoli... powoli... drzwi się odchyliły nieco... Ktoś miał wejść do pokoju...

Wrzasnęła nieludzkim krzykiem:

— Proszę nie wchodzić!

W obramieniu drzwi, już teraz na rozcież otwartych, ukazał się on!

Mikołaj Sempuis, chmurny i pełen niepokoju, zaledwie oświetlony słabym blaskiem lampy, stał nieruchomy na progu, szukając żony błędnym wzrokiem.

Dostrzegł ją nareszcie w jej zalęknionej postawie i postąpił ku niej krok naprzód.

— Ludwiko! szepnął błagalnie.

Ona z wyciągniętemi przed siebie rękami, jakby się niemi bronić i zasłonić chciała, krzyknęła zdławionym głosem:

— Nie przybliżaj się do mnie!

Jego, jakby febra zatrzęsła... Opuścił głowę na piersi.

Zrozumiał, że wie.

Wówczas zgiął się pod nim kolana, upadł na podłogę i pokonany, jęknął boleśnie:

— Moja Ludwiko, przebacz mi!... Ja ciebie tak bardzo kocham!... Nie lękaj się mnie, błagam!... Przeszłość już tak bardzo od nas daleka... Obecnie jestem człowiekiem starym, złamanym, skończonym... i widzisz, do nóg ci się ścielę!... Och! Nie obawiaj się mnie już teraz... Pozwól mi zbliżyć się do siebie i pomówić... Wyznam ci wszystko szczerze, opowiem całe moje życie... Nie będę mieć dla ciebie żadnej tajemnicy, a wtedy prawdopodobnie pozyskam twoją życzliwość. Przyznaję, żе błądziłem, zachowując ciągłe milczenie i ukrywając myśli moje przed tobą... Byłem waryatem, bo nie chciałem zrozumieć, że się mnie lękasz... A przytem narzucałem ci moją wolę... Teraz ty rozkazywać będziesz. Przysięgam ci, że obecnie pragnę być twoim niewolnikiem. Uczynię wszystko, co zechcesz, bylebyś jeszcze kochać mnie mogła... bylebym cię ujrzał w moich objęciach...

Przerażenie Ludwiki zmniejszało się i nikło powoli. Głos Mikołaja, jego rzeczywista postać niszczyła wrażenie wizyi nadprzyrodzonych, które przed chwilą przejmowały ją dreszczem. Ton żałosny a słodki zarazem mowy tego człowieka, oraz jego nadzwyczajna pokora — znała zaś go dotąd tylko jako gburianina i despotę — pozbawiały ją trwogi, którą pojawienie się Mikołaja wywołało. Krew na nowo zaczęła krążyć w jej żyłach. Odsunęła się od ściany i postąpiła parę kroków naprzód.

— Wejdź! — rzekła nareszcie prawie pewnym głosem. — Mamy pomówić z sobą, Mikołaju!

Stary żołnierz zerwał się na równe nogi, zamknął drzwi z pośpiechem i chciał się zbliżyć do Ludwiki.

— Przebaczasz mi? — rzekł upojony szczęściem.

Zatrzymała go na miejscu gwałtownem skinieniem ręki.

— Nie przybliżaj się do mnie!... Nie dotykaj się mnie!... Boję się rąk twoich!... Czy to rozumiesz?

Stanął, jakby przygwożdżony do podłogi.

— Czy... rozumiem! — szepnął zlękany.

Młoda kobieta, osłabiona wzruszeniem, upadła na jedno z krzeseł. Oparłszy się łokciami na stole, ukryła twarz w dłonie i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

On pytał:

— Płaczesz?... Czy użalasz się nademną i mojem nieszczęściem?... Czy nad sobą, Ludwiko?

Odpowiedziała głosem urywanym, pełnym gniewnej goryczy:

— Ma się rozumieć, że płaczę nad sobą! Dla ciebie nie mam litości!... Jesteś nędznikiem!... Zabójca musi być wyjęty z pod prawa, nie należy do świata; nie powinien zbliżać się do swoich bliźnich!... Nie wolno ci było przywłaszczać sobie takiej jak ja biednej dziewczyny... Byłeś stary, kochać cię nie mogłam... Lecz ty mogłeś wzbudzić we mnie, jeśli nie miłość, to przynajmniej przywiązanie, wdzięczność, szacunek... Zamiast być dla mnie ojcem i przyjacielem, stałeś się moim panem, złym i podejrzliwym, zupełnie mi obcym... którego się lękałam. Ach! nie znałam twojej tajemnicy, lecz, chociaż niejasno, jednakże odgadywałam ją poniekąd, bo zawsze... czy słyszysz?... zawsze budziłeś we mnie wstręt i odrazę...

On jęczał, zaciskając pięści z rozpaczą.

— Milcz, Ludwiko!... milcz!... Nie pojmujesz, jaką mi boleść sprawiasz?

— Nie! milczeć nie będę! Zbyt długo milczałam, zbyt długo wobec ciebie zamykałam usta!... Teraz wypowiem wszystko, co mi leży na sercu!... Nienawidzę cię i pogardzam tobą... Jesteś mordercą!... Cieszę się jedną myślą tylko, że wkrótce przyjdą tu żandarmi i w oczach moich pochwycą cię i uprowadzą!

Ex żołnierz wyprostował się, wzniósł głowę do góry — a wydawał się teraz, pod niskim pułapem, istnym olbrzymem — i krzyknął z oburzeniem:

— Ach, hultajko! więc to ty mnie zadenuncyowałaś?

Ona także zerwała się z krzesła i wyprostowawszy swoją wątłą postać, śmiało stawiła mu czoło, krzycząc wyzywającym tonem:

— Tak! Ja cię zadenuncyowałam!... Tak! Ja to, co skradłeś, wydobyłam z ukrycia!... Ja skradzione przez ciebie pieniądze posłałam twoim sędziom!... Ponieważ morderstwo, spełnione przez ciebie tam, nie zostało ukarane, ja tu pomszczę biedną, uduszoną przez ciebie kobietę! Bo tym razem nareszcie musisz odpokutować za popełnione zbrodnie!

On, pobladły i osłomiony falą słów, pełnych nienawiści, którémi pluła mu w oczy, cofnął się w tył nieco.

— Waryatko! — krzyknął z rozpaczą. — Oskarżyłaś mnie o zbrodnię, której nie popełniłem. W błąd wprowadziłaś sędziów... Jestem niewinny!... Czy ty to rozumiesz?

Wybuchnęła szyderczym śmiechem.

— Daj pokój!... Nie mnie mów o tem!... W krwi swojej nosisz zarodki zbrodni! a popełniona niedawno, nie będzie ostatnią!... O! jak ja dobrze zamiary twoje zrozumiałam!... Wiedziałeś, że cię nie

kocham, a sądziłeś, że skłonisz serce moje ku sobie, dając mi pieniądze!... Słuchaj! Posądzałam cię niegdyś, nie zdając sobie sprawy z moich podejrzeń... Dopiero otworzyły mi się oczy w owym dniu, w którym mi powiedziałeś, że chcesz zakład opuścić... że pojedziemy zagranicę, gdzie żyć będziemy z naszych dochodów. Przyrzekłeś mi szczęście, życie wesołe, stroje... tam! tam! gdzieś bardzo daleko... gdzie niema żandarmów!... I tobie się zdawało, że żyjąc obok ciebie w zbytku, będę szczęśliwa?... Och! biedny głupcze! Nienawidziłabym cię nie mniej, niż teraz!... Ubóstwo mnie nie przestrasza, bylebym żyła z tym, którego kocham!... Przy tym, który zabrał mi serce! Którego kocham!.. Czy słyszysz?... Którego ubóstwiam wbrew tobie i twojej zazdrości, grubianinie nikczemny!

Sempuis, jak zwierz raniony, poskoczył.

— Co mówisz, Ludwiko? — wrzasnął grzmiącym głosem.

Ona zaś, rozzuchwalona, upajająca się własnem uniesieniem, nie zdolna ocenić doniosłości słów, które niemal bezmyślnie wymawiała, ciągnęła dalej:

— Powiadam ci, że kocham Juliusza Varin!... Wszystkiemi siłami duszy i ciała kocham człowieka młodego i pięknego... Nic mnie z nim nie rozdzieli!... A przedewszystkiem nie ty, niegodziwcze!

Mikołaj trząsł się jak w febrze!

— Ludwiko! — zawołał zdławionym głosem. — Wyzywasz mnie!... Chcesz mi dokuczyć straszliwie! Kłamiesz! Ale widzisz, źle robisz... Nie powinnaś nadużywać mojej cierpliwości... Nie powinnaś!... Nie wierzę ci... bo gdybym uwierzył... jużbyś nie żyła i ja również!

Pomimo, że uczuła grożące jej niebezpieczeństwo, tak była cała owładnięta rozdrażnieniem nerwowem, że się już powstrzymać nie zdołała.

— Nie kłamię! — szepnęła ciszej, rozglądając się wokoło, jakby szukała wyjścia, którem uciecby mogła. — Nie! nie kłamię, a ty powinienbyś to zrozumieć... Muszę przecież kochać namiętnie, jeśli odważyłam się ciebie zadenuncyować... i o tej porze stawić ci czoło!

On wstrząsnął się z wściekłością.

— Ach tak... to prawda... tak być musi!... To ten człowiek, bez czci i wiary, skłonił cię do popełnienia tak ohydnej podłości! Chcieliście, szelmy, pozbyć się mnie... Lecz poczekaj...

Poskoczył ku niej. Płomieniem gniewu pałające jego oczy przeszywały ją strasznemi spojrzeniami. Obie jego ręce, całym swym ciężarem spadły na jej wątłe ramiona.

Ona zachwiała się i ugięła. Owładnął nią okropny niepokój. Uczuła śmierć bliską siebie, i — jak spadający w przepaść — zamknęła oczy.

— Ach, potworze! zamordujesz mnie tak, jak zamordowałeś tamtą! — jękła cicho.

Słowa te otrzeźwiły Mikołaja. Cofnął się i odepchnął ją od siebie.

— Nie!... Ciebie nie zabiję! Nie! Lecz idź stąd precz!... Niech cię nie widzę, bo nie wiem, czy nad sobą dłużej zapanować zdołam — rzekł głosem chrypliwym.

Ludwika, obezwładniona trwogą, nie mogła ruszyć się z miejsca. Ugięły się pod nią kolana i zwaliła się całem ciałem na podłogę.

— Zabij mnie! — wyszeptała ledwie. — Odejść nie mogę... sił nie mam...

Wobec widocznego osłabienia młodej kobiety i skargi, jakby z ostatniem tchnieniem wyrywającej się z jej piersi, szalony gniew Mikołaja zmienił się w współczucie i żałość bolesną. Poskoczył ku niej i przejęty litością, zawołał:

— O, moja biedna Ludwiko!... Moje ukochane dziecko!

Lecz i tym razem jej gest, pełen odrazy, świadczący o niepokonanym do niego wstręcie, odepchnął go od niej. Cofnął się zrozpaczony, ale dyszący zarazem wściekłością bez granic, rozrywającą mu serce stroskane.

— Ach! jak ty mnie nienawidzisz!

Ona zaś, tracąc zmysły, opuściła na podłogę głowę, którą jeszcze chwilowo trzymała nieco podniesioną, i szepnęła:

— Ja go kocham!

Sempuis, wstrząśnięty znowu gwałtownem uniesieniem, rzucił się na nią. Lecz niemal równocześnie jęknął zdławionym głosem, powstał na równe nogi, przeszedł się tam i napowrót po pokoju, poczem runął na drzwi, rozbijając je raczej, niż otwierając silnem szarpnięciem, i po drewnianych stopniach schodów, trzeszczących pod jego ciężkiemi stopami, zbiegł na dół. Tam, jak wicher przeleciał przez izbę, potrącił zdumioną żonę leśnika i wyskoczył na dwór, niknąc jak widmo w cieniach nocy.

— Właśnie w tej chwili leśniczy wychodził z alkierza, w którym zmieniał mokre od rosy buty, w których z lasu powrócił.

— Co to się stało? — zapytał mocno zdziwiony.

Kobieta, zakłopotana wielce, odparła mu mrukliwie:

— To twój Sempuis takie breweryе wyprawia... Ach! jak mi ci ludzie obrzydli!... Ona frymuśnica! on grubianin!... Czy tylko czego złego nie spłatał tam na górze?... Muszę pójść zobaczyć...

Zaledwie weszła do pokoju, zajmowanego przez Ludwikę, krzyknęła przerażona:



— Ach, potworze! zamordujesz mnie tak, jak zamordowałeś tamtą! — jękła cicho.

— Chryste Jezu!... Zabił ją!... Chodź tu czemprędzej Romualdzie!

ROZDZIAŁ X.

Tymczasowo na wolności.

Pani Lucas, klucznica w domu obłąkanych, stojąca na progu pokoju, w którym się mieścił skład bielizny i pościeli, zawołała:

— Panie Berthaut!

Dozorca zatrzymał się w kurytarzu i na przyjazne, zapraszające skinienie gospodyni, wszedł do pokoiku.

Dwa kieliszki i brzuchata butelka wina stały na stole.

— Czy masz pan parę minut czasu? — zapytała wdowa.

— Może mam.

Zamknęła za nim drzwi i napełniając oba kieliszki, szepnęła z wielce zatrwożoną miną:

— Hę? co? Tyle... tyle wypadków!

Berthaut, sam nieco zakłopotany, kiwnął głową.

— Tak! tak!

Spoglądała na niego wzrokiem, pełnym nadzwyczajnej ciekawości.

— Powiedz pan, jaki był powód śmierci tego biednego Sempuis'a?

Dozorca poruszył się żwawo, jakby rozdrażniony.

— Co przez to pytanie chcesz pani dać do zrozumienia? Wiesz przecie, równie dobrze, jak ja, co i jak się stało!

Pani Lucas potrząsnęła głową.

— Wiem to tylko — co mi powiedziano — że podobno miał gwałtowną awanturę z żoną... wskutek czego zbiegł do lasu... i powiesił się...

Berthaut umaczał usta w winie, chlipnął łyk jeden i postawił kieliszek na stole.

— Widzi pani, że wiesz tyle, co i ja!

Ona skrzywiła się z wyrazem powątpiewania w oczach.

— Czy to pana nie dziwi, że Mikołaj zabił się w ten sposób?... I to tak sobie, z powodu marnej zwady ze swoją Ludwiką?

Berthaut odparł zirytowany:

— Powiedz-że już pani, co ci leży na sercu? Czy może podzielasz zdanie pani Manescault, która, gdy ją zawiadomiono o samobójstwie biednego człowieka, krzyknęła: „Nędznik! sam sobie wymierzył sprawiedliwość!..." Chyba pani nie wyobrażasz sobie, aby Mikołaj czemkolwiek bądź przyczynił się do morderstwa w Pawilonie Bzów? Bo gdybyś wierzyła w takie przypuszczenie, to musiałabyś i mnie o toż samo posądzać...

Wdowa odparła żwawo:

— Och! broń Boże!... Nie! Ja nie to miałam na myśli. Och! zdawało mi się, że może Mikołaja spotkało jakie nieszczęście!

Maurycy spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Nieszczęście?... Co pani przez to rozumie?

— No! z powodu tego ogrodniczka, który zalecał się do Ludwiki i dwa razy stąd się wydalał... Mówiono, że gonił za Mikołajem... Jeśli się tam spotkali, to może właśnie z tego powodu wynikła brzydka awantura...

Przy wzmiance o miłostce Ludwiki, dozorca poczerwieniał. Sam niegdyś ubiegał się o jej względy, bo podobała mu się bardzo, więc nie zmartwił się, gdy się dowiedział, że chociaż nie jemu uległa, inny mężczyzna odniósł nad nią zwycięstwo. Słuchając jednak romansowych przypuszczeń pani Lucas, wzruszył ramionami.

— Nie staraj się pani gmatwać prostych rzeczy!... Sempuis zabił się sam, to nie ulega wątpliwości! Jadąc do Ludwiki, powiedział domnie: „Jeśli uważać mnie będzie za mordercę, a ja nie zdołam zniweczyć jej błędnego mniemania, zniknę raz na zawsze!" Gdy to mówił, sądziłem, że ma zamiar wyjechać, lecz teraz widzę, że już wtedy postanowił życia się pozbawić. Prawdopodobnie kobiecisko nie chciało go słuchać, a on stracił wszelką nadzieję przekonania jej o swej niewinności. Poczem widocznie nie namyślał się długo, bo zaledwie opuścił Ludwikę, przyjaciel jego, leśniczy, zaniepokojony tem, że Mikołaj jak waryat poleciał do lasu... urządził, przy pomocy swojej żony i dzieci, rodzaj obławy i znalazł go jeszcze ciepłego, wiszącego na drzewie...

Klucznica zadrżała.

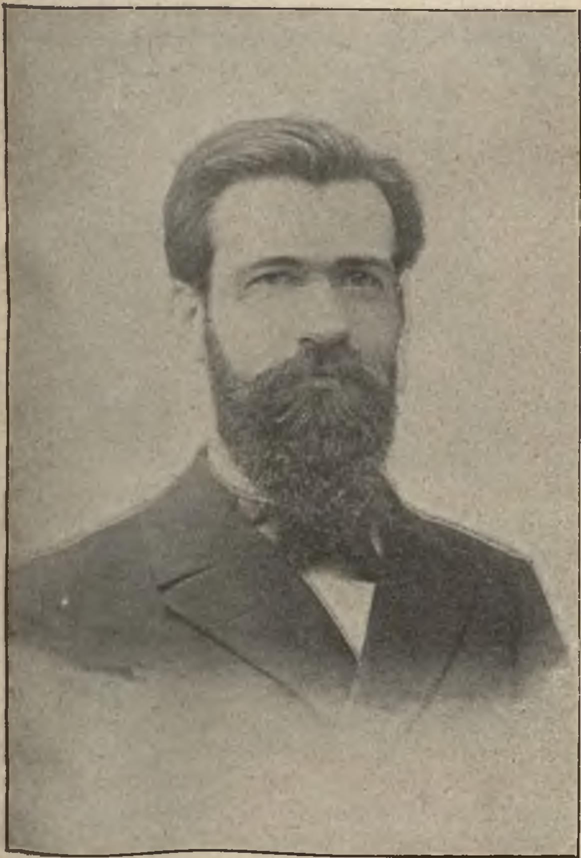
— Krew w żyłach się ścina, gdy się myśli o tem!

— Powiesił się na sznurku, który stąd wziął z sobą...

— Czy przynajmniej użyto wszelkich możliwych środków w celu przywrócenia mu życia?

— Na nicby się nie przydały; nie warto było nawet próbować... Użył sposobu, który my wszyscy, cośmy przebywali czas dłuższy w koloniach, znamy doskonale... Polega na tem, że uwiązawszy sznur do gałęzi, zakłada się pętlę na szyję i skacze z drzewa głową na dół... Wtedy kość pacierzowa pęka od razu... i śmierć przychodzi natychmiast... Iluż to korsarzy chińskich wyprawiliśmy na tamten świat w tenże sam sposób!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Uwięzienie redaktorów w Warszawie: Zygmunt Makowiecki, redaktor „Gońca", skazany administracyjnie na 3 miesiące aresztu.

Klasyczne przedstawienie w teatrze lwowskim.

Dyrekcya teatru miejskiego we Lwowie podjęła chwalebne przedsięwzięcie urozmaicenia i okraszenia bieżącego repertoaru cyklem wieczorów polskich, w których przesunąć się ma przez scenę szereg najcelniejszych utworów dramatycznych z okresu zarania naszej literatury teatralnej. Przedstawienia te mają być rodzajem popisu sił i środków sceny lwowskiej, rodzajem tej szlachetnej emulacyi, która ma dostarczyć dowodu, że lwowski teatr miejski usiłuje przodować pod względem myśli przewodniej i pod względem umiejętności i staranności w inscenizowaniu tego rodzaju przedsięwzięć teatralnych innym polskim teatrom. Możność sprostania temu zadaniu dostarcza teatrowi lwowskiemu pierwszorzędny dziś zespół sił aktorskich w odpowiedzialnych wydziałach ról, obfitujący w pierwszorzędne talenty, liczny personal do sił drugoplanowych, oraz świadoma swych obowiązków reżyserya.

Na pierwsze przedstawienie z cyklu klasysznego wybrano żywo przechowującą się w tradycyi teatralnej komedyę Franciszka Zabłockiego „Fircyk w zalotach". Utwory tego rodzaju dziś już oczywiście tylko w ramach wykwintnej stylizacyi mogą mieć swe uprawnienie na scenie, jako retrospektywny rzut oka w przeszłość naszego teatru i naszej dramatycznej literatury. Przedstawienie „Fircyka w zalotach" wypadło pod każdym względem znakomicie.

Teatr lwowski zapalił istotnie wszystkie świeczki, aby stanąć na wysokości zadania. W inscenizacyi nie szczędzono trudu, aby dać całości nowy wyraz i oryginalny gest. Trójka artystów: Siemaszkowa (Podstolina), Feldman (Pustak) i Nowacki (Fircyk), była tak świetną w każdem odezwaniu się, ruchu, gieście i charakteryzacyi, taką stylową w każdym calu, że jak się wyraził jeden z krytyków lwowskich, mogłaby zagrać bez obawy „Fircyka" przed samym królem Jegomością. Nie mniej stylową i staranną była też część dekoracyjna, przygotowana z niemałym mozołem przez znanego artystę malarza p. F. M. Wygrzywalskiego.

Zdjęcie nasze przedstawia scenę z aktu I. u króla Stanisława Augusta.



Pożar remiz tramwajowych w Warszawie: Widok płonących budynków.

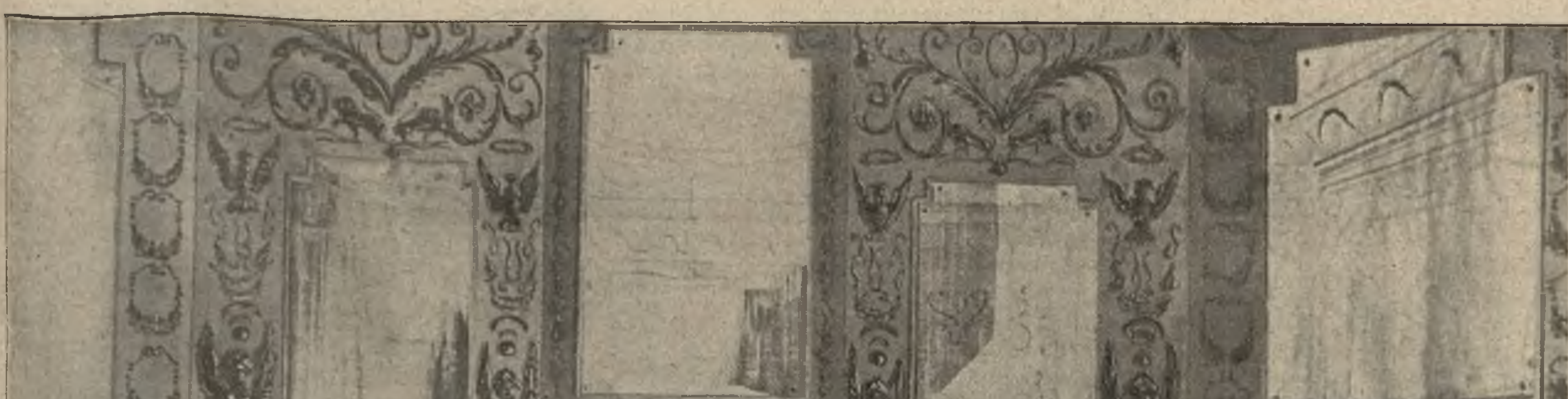
Pożar remiz tramwajowych w Warszawie.

Widownią groźnego pożaru była w tych dniach dzielnica wolska w Warszawie. Ogień z niewyjaśnionych przyczyn powstał na posiadłości tramwajów miejskich, gdzie znajduje się siedziba zarządu, remizy, warsztaty — w olbrzymim budynku drewnianym, w którym dawniej znajdowały się remizy tramwajów konnych, a obecnie po wprowadzeniu trakcyi elektrycznej do tramwajów — zajętym na stajnie i składy furażu.

Płomienie pędzone silnym wichrem objęły niebawem cały kompleks budynków, a pożar szerzył się z tak niezwykłą szybkością, że znajdujące się w płonącym budynku konie, w liczbie 49, zdołano tylko z trudem uratować.

Pożar strawił doszczętnie trzy dawne remizy tramwajowe, z których pozostały tylko zgliszcza. W zgorzałych budynkach spaliło się przytem dziewięć starych wagonów tramwajowych.

Szczęściem teren, objęty przez pożar, z dwóch stron sąsiadował z pustymi placami, wobec czego budynki trakcyi elektrycznej znajdowały się poza obrębem wszelkiego niebezpieczeństwa.



Klasyczne przedstawienie w teatrze lwowskim: Scena z aktu I. u króla Stanisława Augusta.

Kronika tygodniowa.

I dzisiejszą kronikę zacząć muszę od usprawiedliwienia się. W ubiegłym tygodniu nadeszło pod adresem redakcyi i administracyi „Nowości Illustrowanych“ trzydzieści siedm listów (z tego dwa nie ofrankowane należycie), w których Czytelnicy zapytują, czy kronikarz zastrejkował i dlaczego, i wzywają redakcyę, by chwyciła się wobec niego jak najenergiczniejszych środków. Szczególniej jeden z listów trzymany był w tonie, przypominającym *przyjazne* noty europejskiej dyplomacyi, groził piorunami i innemi karami piekielnemi...

Swoją drogą, P. T. Czytelnicy mają racyę, niech jednak raczą wybaczyć biednemu kronikarzowi, który uniesiony patryotycznym zapałem postanowił pospieszyć biednym Turkom na pomoc i otrzymawszy pozwolenie władzy domowej i zaliczkę z redakcyi na koszta podróży, zaciągnął się do legionu polskiego, który miał Włochów posiekać na makaron i wskrzesić świetne tradycye legionów Dąbrowskiego, gdyż i obecne niezawodnie nosiłyby takie samo miano. Przez dwa tygodnie zbierałem poszczególne części rynsztunku wojennego i zapasy furażu, magnifika moja trzy prześcieradła pocięła na bandaże i dwie stare poszewki wypełniła szarpiami, gdyż bez ran na wojnie się nie obejdzie, zaopatrzyłem się w ogromny parasol i korkowy pas bezpieczeństwa, a poczciwy Aron Gajer chciał mi nawet odsprzedać starą armatę, którą kupił na licytacyi w Belgradzie.

Tymczasem cały zapał skończył się na niczem, w sprawę wmieszał się pan prokurator, a legioniści, między nimi i ja, powrócili do zajęć codziennych i tygodniowych.

Mimo to, wobec wojny turecko włoskiej wszystkie inne sprawy zeszły na drugi plan, zapomnia no o reformie wyborczej do sejmu i rady miejskiej a nawet i o drożyźnie, a całe społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy, z których jeden postanowił bronić Turków, a drugi Włochów. I kto wie, czy i nasz kraj nie byłby się stał widownią bratobójczych zapasów, zwłaszcza, że wmieszały się i organa naszej prasy, z powodu jednak podrożenia piwa ostygły zapały i powoli wróciło wszystko do równowagi. Ogólna równowaga polityczna nie ucierpiała także, mocarstwa europejskie przyszły do przekonania, że co do podzielenia się Turcyą, są wszystkie jednej i tej samej myśli.

Najbardziej obawiano się rozsypania się trójprzymierza, zwłaszcza, że Włochy rozpoczęły akcyę wojenną na Adryatyku, który jest przecież morzem cesarsko królewskiem. Obydwa jednak gabinety interesowane potrafiły uspokoić rychło opinię publiczną, oświadczając, że Austrya biorąc pod opiekę poddanych włoskich w Albanii gotowa nawet kraj ten okupować i anektować. wdzięczne natomiast Włochy postanowiły zabrać Trydent i Tryest, by uwolnić sprzymierzeńca od niepotrzebnych kłopotów, jakie ma z włoskim fakultetem prawniczym, który wobec tego stałby się niepotrzebny i spadłby z porządku dziennego. Na tem wyjdzie najlepiej budżet austryacki, z którego możnaby wówczas skreślić odpowiednią pozycyę, a uzyskaną stąd kwotę przeznaczyć na zakupno mięsa argentyńskiego, którego i tak bracia Węgrzy nie pozwolą przywieźć do Austryi.

Pod znakiem Marsa i Bellony zebrał się też i austryacki parlament, nic więc dziwnego, że stał się prędko widownią najrozmaitszych awantur. Baron Gautsch, ów mąż opatrznościowy, który chwalił się, że dzięki jego staraniom porozumienie między Niemcami i Czechami jest już bardzo blizkie i spodziewać się należy, że już w najkrótszym czasie przyjdzie do nawiązania bezpośrednich stosunków.

I nie pomylił się pan Paweł, bo już w pierwszym dniu nowej sesyi, zbliżyły się do siebie oba narody, a przedstawiciele ich wzięli się za łby w westybulu parlamentarnym. Kit patentowany, którym ich spoiła polityka austryacka, okazał się tak silny, iż z trudnością rozdzielili walecznych posłowie socyalistyczni, nie żałując obu stronom „namacalnych dowodów“, że nie mają racyi, i „ręcznych argumentów“, że nie powinni robić karczmy z parlamentu.

Drugim smutnym epizodem z życia naszej najwyższej instytucyi ustawodawczej instytucyi to zamach na ministra sprawiedliwości Hochenburgera. Austryacka Izba posłów była już widownią najrozmaitszych awantur, bójek, wymyślań i koncertów popularnych, nigdy przecież nie dybano w niej na życie ludzkie. Znalazł się dopiero niedowarzony młodzian, Czarnogórzec pono z urodzenia, a socyalista z przekonania i postanowił za jednym zamachem „załatwić się“ z austryacką sprawiedliwością w osobie jej przedstawiciela. Uniesiony zbytnim zapałem, pod wpływem podburzających przemów najrozmaitszych towarzyszów, zabawił się w mściciela rzekomo pokrzywdzonych surowymi wyrokami demonstrantów wiedeńskich i odpowiedzial na nie ostrymi strzałami, które zaprowadziły go w gościnne mury kryminału.

Młody zapaleniec może i nie tyle winien, ile ci, którzy go do tego nakłonili, którzy go do tego czynu popchnęli i wsunęli mu w rękę broń morderczą. „O! rękę karaj, nie ślepy miecz“... przypominają się słowa poety.

Pod niewesołemi więc auspicyami rozpoczęła się sesya parlamentarna, pierwsza w nowej epoce rządów barona Gautscha. Wiele się po niej spodziewano, zbyt jednak trwa krótko, by już dziś można powiedzieć, czy ziści pokładane w niej nadzieje.

Na pierwszym planie stoi walka z drożyzną i polepszenie doli tych prawdziwych proletaryuszy, to jest urzędników. Rząd w zasadzie co do regulacyi ich płac nie stawia żadnego oporu, ani biernego. ani czynnego, żąda jednak w zamian nowych źródeł dochodu, a temi mają być nowe podatki, w szczególności zaś ma się podwyższyć podatki osobisto dochodowe, tantyemowe i od dywidend, ponadto ma wejść nareszcie raz w życie ów z takiem przez stare panny utęsknieniem oczekiwany podatek starokawalerski. W Austryi tak się nam już podatki dały we znaki, że niejeden z kawalerów pospieszy raczej w słodkie (?) więzy hymenu, by się tylko od płacenia uwolnić. Ponadto ma pan minister skarbu w swej tece i inne jeszcze projekty sanacyi kulejącego budżetu państwowego, mianowicie zniesienie ulg taryfowych dla cementu, nafty, spirytusu i cukru i redukcyę programu budowy kolei lokalnych. Wogóle, pod względem najrozmaitszych redukcyi, każdorazowy minister skarbu ma niewyczerpaną fantazyę, a wszystko kończy się w zasadzie... coraz większą drożyzną.

Najpewniejszym zresztą zwiastunem podskoczenia dalszego cen wszystkich produktów będzie podwyższenie płacy urzędnikom. Ilekroć uzyskali takowe, tylekroć drożyzna potęgowała się coraz bardziej, gdyż najrozmaitsi producenci wychodzili z mądrej zasady: teraz macie z czego, więc płaćcie!...

W czarniejszych jeszcze kolorach przedstawia się parlamentarna walka z drożyzną, która jest właściwie tylko najzwyczajniejszem mydleniem oczu opinii publicznej, gdyż rząd zupełnie o niej nie myśli, by się przypadkiem nie narazić panom agraryuszom, a ci, jak wiadomo, są jeszcze zachłanniejsi, niż nawet krakowscy kamienicznicy i nie ustąpią ani na krok. Zamkną granicę i nie przepuszczą nawet króla Piotra, który tak radby do Wiednia, a bodaj choćby do Budapesztu!...

A przyznać trzeba, że panowie agraryusze nie uważają nawet na pozory, ale występują z całą bezwzględnością i brutalnością, zawsze i wszędzie ich cechującą. Gdyby to chociaż udawali, że ich serce boli na widok ludzkiej nędzy, ale im to ani nie w głowie!...

Daleko czulszymi od nich są krakowscy restauratorzy i szynkarze, którzy na wiadomość o podwyższeniu cen piwa, postanowionem przez browarnianych kartelowców, wydali szumną odezwę, wywajacą do... bojkotu piwa! Wiedzieli, co robią! Jak tu nawet przypuścić, by Krakowianin, zwłaszcza w tak burzliwych czasach, gdy ważą się losy Europy i sułtański tron trzeszczy, mógł się obejść bez bombki, bodaj okocima, jeśli już nie pilznera! Każdy, przeczytawszy ich odezwę, otarł z oka łzę rozczulenia, rzekł do siebie: A przecież to poczciwe chłopy! Mają serce!... i poszedł spokojnie... na piwo.

A nie żądali oni niczego innego, tylko, aby ludność stołecznego, rozszerzonego, królewskiego miasta Krakowa zastrejkowała i przez cztery dni, t. j. od pierwszego października do czwartego, wstrzymała się od komsumcyi piwa, gdyż tylko w ten sposób można browarnikom pokazać swe zęby i zmusić ich do ustępstwa. Odezwę tą podpisali wszyscy sprzedający piwo bez różnicy wieku, płci, wyznania i przekonań politycznych, zastrzegając się w zakończeniu, że jeśli publiczność nie potrafi ujarzmić owych piwnych rycerzy rabusiów, oni, aczkolwiek z bólem serca, będą musieli podnieść ceny piwa i to już od dnia 1 października t. j. od niedzieli.

Odezwę wydrukowano, a oni po cichu śmiali się w kułak, obliczając już z góry swe zyski i czekali owej niedzieli, w której skromny okocim pod skoczy na czternaście centów, a pilzner na dziewiętnaście, choć pono na tem się nie skończy, bo dalsza podwyżka jest już w drodze i każdą będzie się w ten sposób reklamować.

Otóż w ową feralną niedzielę, t. j. w dniu pierwszego października, jak sam naocznie miałem się sposobność przekonać, krakowskie handelki zaroiły się jak nigdy, pospieszyli w ich podwoje nawet tacy, którzy dotąd nektaru Gambrynusa nie używali, a zjawili się tylko w tym celu, aby się przekonać, jaki odezwa będzie mieć skutek. Rzecz naturalna, że przyszedłszy do knajpki, trudno tam robić tylko inhalacye, trzeba więc się czegoś napić, a już najprędzej piwa, które wprawdzie podrożało, ale zato poprawiła się zapewne jego jakość. Powtórzyła się tutaj ta sama historya, jaka była z tytoniem, cygarami i papierosami, obiecano, że będą lepsze po podrożeniu, tymczasem nie zmieniły się, chyba *in minus*. Gdyby tak postąpił sobie przeciętny przedsiębiorca, kto wie, czy nie zaprosiłby go do siebie pan prokurator i nie rozpoczął z nim przyjacielskiej pogawędki o tak zwanej zbrodni oszustwa...

Wróćmy jednak do piwa! Odezwa zrobiła swoje, konsumenci swoje, szynkarze także swoje, jednem słowem i wilk był syty i owca cała, a w żadną niedzielę nie wypito takiej masy piwska najrozmaitszych gatunków (tak krajowych, jak i zagranicznych), jak w ową przełomową która miała rozpocząć historyczny strejk piwoszów!...

Skończył się na niczem, choć, gdyby był doszedł do skutku, byłby miał najlepsze następstwa tak ze względu na nasze zdrowie, jak i na naszą kieszeń, która piszczy, jak nigdy dotąd, bo ziemniaki dochodzą już do dziesięciu koron za korzec, a mięso sprzedają tylko w aptekach na receptę. Całe szczęście, że nie podrożał jeszcze ani szampan, ani kawior, ani ostrygi, można się bodaj tem pocieszyć w smartwieniu.

Gorsze niebezpieczeństwo groziło naszym paniom przed kilku tygodniami, gdy zapowiedzieli strejk krawcy damscy, utrzymując, że są wyzyskiwani przez właścicieli magazynów i wobec tego odkładają igły i nożyce i zaprzestają pracy.

Panie podniosły lament! Gwałtu! Raczej wyjdzie każda z nich na ulicę bez sukni, niż miałaby się pokazać w niemodnej. Zabrały się więc przedewszystkiem do panów krawców ich własne żony i takie im sprawiły piekło domowe, iż porzucili zamiary i powrócili pokornie do pracy. Z tego widać, jaką nasze panie mają siłę i potęgę w swych rękach i jestem pewny, że gdyby żony piwowarów były same amatorkami piwa, do podrożenia jego nigdyby było nie przyszło.

Także i ex-szach, pan Mahomet Ali, gdyby był słuchał swej żony i pilnował ogniska domowego, nie byłby popadł w kłopot, opowiadają bowiem, że pono s t r a c i ł w Persyi g ł o w ę. Nie wiem, czy można to rozumieć dosłownie, jeśli zaś tak, to mogę mu tylko pozazdrościć, gdyż zaoszczędzi wiele na kapeluszach, a i to coś znaczy na te ciężkie czasy!... Coby to dał niejeden mąż za to, gdyby jego żona pozbawioną była głowy, na którą co sezon musi pchać inny kapelusz?...



Pod zarzutem zbrodni przeciw moralności: Teodor Sozaszwili, uniewinniony przez warszawski sąd okręgowy.



Wojna włosko-turecka: Piechota turecka. (Do art na str. 4)

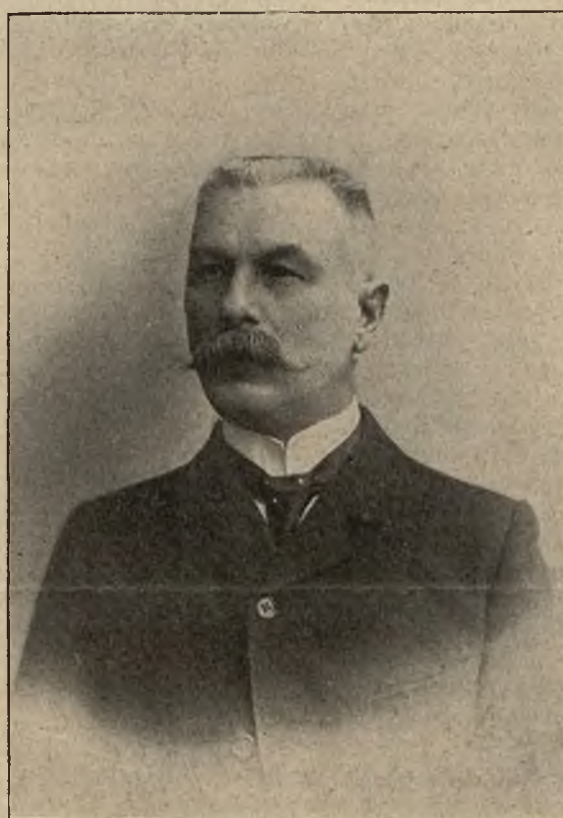
Pod zarzutem zbrodni przeciw moralności.

Bywalcom kabaretów warszawskich dobrze znaną jest typowa postać ormianina-kucharza, który w swym narodowym stroju kaukazkim roznosi po sali ulubioną potrawę tatarską, szaszłyki; stąd popularnie zwą go Szaszłykowskim. Ten to mistrz kunsztu kucharskiego stanął w tych dniach przed wydziałem karnym Sądu Okręgowego Warszawskiego pod zarzutem, iż oprócz mięsa końskiego, lubi również chłopięce. (Kara w Rosyi do 12 lat robót ciężkich). Po płomiennej przemowie adw. przys. Szyszkowskiego sąd pierwszej instancyi oskarżonego uniewinnił.

Ofiara totalizatora.

Smutne następstwa namiętności do hazardu, która stosownie do okoliczności, przejawia się u natur słabszych nieprzezwyciężonym pociągiem czy to do kart, czy do gry w totalizatora — znalazły tragiczną ilustracyę na niedzielnych wyścigach w Warszawie.

Oto podczas rozgrywki jednego z biegów, gdy zwycięski koń mijał celownik — w skłębionym przed trybunami tłumie zasłabł nagle jakiś starszy mężczyzna. Pospieszono mu natychmiast z pomocą, wszelkie atoli zabiegi były daremne. Na noszach



Ofiara totalizatora: Ś. p. Damazy Dąbkowski, który zmarł nagle na wyścigach w Warszawie.

przeniesiono konającego do kancelaryi, gdzie wydał ostatnie tchnienie.

Starzec ten podczas biegu postawił 300 rubli w totalizatorze i niewątpliwie pod wrażeniem tej przegranej dostał ataku sercowego, który go o śmierć przyprawił.

Jak następnie stwierdzono, był to Damazy Dąbkowski, konduktor hotelu „Victoria“ w Warszawie, w wieku lat 58.

Uwięzienie redaktorów w Warszawie.

Na mocy postanowienia jenerał-gubernatora warszawskiego redaktor „Gońca“ warszawskiego, p. Zygmunt Makowiecki został skazany administracyjnie na 3 miesiące aresztu policyjnego. Powodem tej kary był artykuł p. t. „Zamachy na ministrów“, zamieszczony w N-rze 427 tego dziennika.

Redaktora Makowieckiego, przed kilku dniami uwięziono i osadzono na razie w areszcie policyjnym przy Ratuszu, skąd go następnie przewieziono do więzienia śledczego przy ul. Dzielnej.

W tych dniach aresztowano również redaktora i wydawcę humorystycznego ulotnego pisemka p. t. „Kogut“, p. Edmunda Czajewskiego, również obwinionego o przestępstwo prasowe.

Zwycięstwo sportowe krakowian w Warszawie.

Donośne echa dzielności sportowej krakowskich drużyn foot ballowych, i zwycięstw odnoszonych w walkach z zagranicznemi drużynami, zaciekawiły



Zwycięstwo sportowe Krakowian w Warszawie: Krakowska „Lauda“, która zwyciężyła w matchu footballowym „Warszawiankę“ w stosunku 4 : 0. W pośrodku bramkarz (biały) p. Nowak.



Uwięzienie redaktorów w Warszawie: Edmund Czajewski, redaktor „Koguta“.



Polski balon sterowy: Inż. Tomasz Flegier, twórca balonu

w ostatnich czasach także bratnie drużyny sportowe w Warszawie. Na zaproszenie wystosowane przez warszawskie koła sportowe podążyła do Warszawy znana ze sprawności krakowska „Lauda“ i rozegrała w dniu 8 b. m. w parku „Agricola“ wielki match piłki nożnej z warszawską osadą „Warszawianka“. Po dłuższej walce, prowadzonej przez obie drużyny z wielką biegłością, zwyciężyła krakowska „Lauda“ w stosunku 4:0. Powyższe walne zwycięstwo krakowian nad reprezentacyjnym obozem warszawskiego „Koła sportowego“ wplata nowylaur do wieńca tryumfów „Laudy“. Warszawskie „Koło sportowe“ wręczyło sympatycznym gościom z pod Wawelu piękny wieniec z napisem „Warszawskie Koło sportowe 8 października 1911. — Match „Lauda“-„Warszawianka“.

Rycina nasza przedstawia obie drużyny zgrupowane po stoczonym turnieju. Po stronie osady „Warszawianka“ bramkarzem był p. Jachimowicz (strój biały) po stronie „Laudy“ p. Nowak.



Zwycięstwo sportowe Krakowian w Warszawie: Osada „Warszawianki“, pokonana przez „Laudę“. W pośrodku bramkarz (biały) p. Jachimowicz.

Polski balon sterowy.

W pracy nad balonami sterowemi nie brak i polskich usiłowań W ostatnich czasach poświęcił się im p. Tomasz Flegier, warszawianin, który już od lat kilku zajmował się studyami awiatycznemi, a przed rokiem otrzymał w Niemczech, w Alzacyi, dyplom pilota. Balon p. Flegiera różni się od istniejących dotychczas balonów motorowych całym szeregiem szczegółów konstrukcyjnych; przedewszystkiem nie posiada on t. zw. balonetu dla regulacyi wewnętrznego ciśnienia gazu w balonie, natomiast powłoka trzech balonów, stanowiących ciało unoszące, może się automatycznie rozszerzać lub kurczyć, zależnie od ciśnienia rozgrzewających się gazów, albo ciśnienia atmosfery. Dzięki temu osiąga p. Flegier zmniejszenie objętości balonu prawie o jedną trzecią część, przy tej samej sile nośnej. Następnie gondole balonu są umieszczone w ramie, biegnącej wzdłuż całej długości balonu, co nadaje konstrukcyi sztywność i pozwala usunąć wszelkie zewnętrzne sznury, tamujące szybkość lotu. Wynalazca ma nadzieję, że balon jego będzie mógł rozwinąć szybkość do 90 klm. na godzinę.

Wynalazkiem p. Flegiera zainteresowały się miejscowe koła lotnicze i niebawem mają się odbyć próby nowego balonu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 39.

Kwadrat magiczny:

K o r a
A g a t
R a n a
K r o k

Łamigłówka:

Para
Odra
Dora
Rama
Opal
Żaba
Echo
Noga
Igła
Egon
Piła
Iwan
Wata
Agat

Kwadrat magiczny:

A
K r a
D r y n a
T o ł s t o j
W i t S t w o s z
A r y s t o t e l e s
H a u p t m a n n
A n h e l l i
W i l i a
B e m
S

Zadanie do przestawienia: Cicha woda brzegi rwie

Szarada: Kardynał.

Szarada: Krawiec.

Bilety wizytowe:

1). Blacharz budowlany i galanteryjny.
2). Śpiewaczka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Patelski Janów, J. Walter Podwołoczyska, H. Misiński Złoczów, J. Śliwiński Brzostek, O. Górkowa Chyrów, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, A. Balicki Stanisławów, W. Świrski Chrzanów, A Bandrowski Piotrków, J. Kwaśniewski Lwów, A. Trojacki Wiedeń, M Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Facimiech, H. Zegartowska Bogucice, K. Radoszewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, H Piątek Podwołoczyska, J. Ligęza Tarnów, M. Lisowska Kraków, F. Zając Bochnia, L Śmiałek Kraków, J. Wołowski Warszawa, M. Więckowska Kalisz, M Rieger Brody, L. Stanisławski Czerniowce, L. Lindenbaum Jasło, H. Bukowski Kijów, M Cisowska Lisko, R. Maciejowski Kamieniec, T Potocki Lwów, R Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, H. Fertig Jasło, D. Sedyńska Kraków, W. Thun Krosno, Z Kalinowska Warszawa, H. Ohrenstein Lwów, K Tomaszewski Zgierz, L. Winter Tarnopol, H. Bogucki Jabłonów, J. Ortyński Żywiec, M. Silberzweig Poznań, S. Karwowski Kraków, L. Reichenberg Chrzanów, H. Dębicki Lwów. J. Jordan Sanok, J. Sikorski Stanisławów, W. Czermak Wiedeń, T. Gawęda Radomyśl, M. Garan Radom, J. Lichański Warszawa, K. Michalski Warszawa, H. Gawroński Kijów, K. Zalewski Jasło, C. Wang Kijów, D. Rosenbaum Kraków, H. Czapuczyński Oleksin, L. Krokowski Sambor, T. Dymnicki Dobrzechów. J. Krawecki Rzeszów, I. Brzostowski Podgórze, J Stroiek Tarnopol, M. Wojkowski Skałat, A. Gralewski Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, J Olszewski Lwów, M. Klimek Bochnia, S Groszek Tarnów, H. Knopf Jarosław, J. Broda Rzeszów, S Turek Kraków, J. Obst Łódź, M. Agat Lwów, H. Rogozińska Kraków, J. Szklarski Lwów, T. Szumski Ryga, J. Kawkowa Kraków, T. Osadziński Lwów, J. Nowacki Rzeszów, T. Heller Borzęcin, L. Lang Kraków, H. Górski Lwów, H. Kot Sambor, J. Zachara Rzeszów, M. Wyka Bochnia, K. Gliński Kołomyja, J. Kozicki Stanisławów, M. Engelberg Kraków, D. Łopatyński Kraków, W. Scholz Kraków, K. Bernatowicz Rozwadów, R. Kinalski Rzeszów, J. Linderski Przemyśl, T. Kozłowski Lwów, W. Zakrzewska Warszawa, S. Jasiński Rzeszów, J. Górecki Kraków, M. Ołeksiukowa Holeszów, S. Uderska Kraków, M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Czeremchów, K. Szumańska Rawa Ruska.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Sikorski, Stanisławów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Dyrekcya zachęcona dotychczasowem powodzeniem, wprowadza do swego repertuaru całe sztuki, odegrane przez najwybitniejszych artystów francuskich.

W obecnym programie od piątku 14 bm. celuje z tego zakresu współczesny 3 aktowy dramat obyczajowy p. t. „Grzeszna miłość“. Programu dopełniają zawsze interesujący „Żurnal Pathego“ i szereg obrazów humorystycznych.

Ze świata kobiecego.

Kapelusze sezonowe.

Gdyby przeciętna mieszkanka Krakowa znalazła się nagle na bruku Paryża, uderzona by została nadzwyczajną ekstrawagancyą kapeluszy tak dziwacznych, że najbardziej oryginalne, widywane w Krakowie, jeszcze wyglądać będą przy nich na bardzo spokojne. Właścicielki magazynów, udające się tam po kapelusze, w niemałym są kłopocie, aby nie przerazić swych klientek modelami, które mogą wydać się im wprost potwornymi.

Niejedna wychodzi zwycięsko z trudnej próby. Do takich zaliczam przedewszystkiem magazyn p. Śleczkowskiej przy ulicy Szewskiej, która w czterech ścianach swego saloniku zebrała prawdziwe pieścidełka dzisiejszej mody, w miarę oryginalne, fantazyjne i różnorodne. Kilka modeli, które odtworzyliśmy fotograficznie, oraz szereg innych, które opisać pragnę, da niejednej z pań radę, jak zadysponować sobie kapelusz nowy, lub przerobić zeszłoroczny.



Budka empirowa. Model Rebboux. Pokryta aksamitem czarnym, brzeg objęty koronką relief, motywy w tonie wschodnim przytrzymane odpowiedniemi gazami. Tuf strusi bladoróżowy.

Tok aksamitny. Model Germaine. Forma szyszakowata, aksamit udrapowany, ozdoby z fronzowanej irlandzkiej koronki, motywa wschodnie. Rajer biały.

Tak więc powiedzieć muszę przedewszystkiem, że niezmiernie modne naogół są kapelusze aksamitne, przybierane koronkami białemi i motywami wschodnimi, w których złoto i kolorowe paciorki stanowią część integralną. Pleuresy dochodzą do coraz większych rozmiarów; widziałam np. u p. Śleczkowskiej wspaniały czarny aksamitny „awiator", ozdobiony dwiema pleuresami, każda na półtora metra długości, o piórkach potrójnie wiązanych, owoc benedyktyńskiej iście pracy.

Niezmiernie też modnemi są mewy; nadzwyczaj dekoracyjny ptak, o główce smukłej i długiem, kształtnem ciele, podniesie bezwątpienia każdy kapelusz. W tymże magazynie widziałam prześliczny hełmik, na który składały się trzy mewy, ułożone w ten sposób, że skrzydłami i główkami swemi pokrywały go w całości, łącząc się w fantastyczną, harmonijną całość. Bardziej oryginalnymi i stosownymi tylko dla wysokich osób, są kapelusze formą hełmu średniowiecznego, wązkie a długie i wysokie. Ten, który oglądałam u p. Śleczkowskiej, wykonany był z aksamitu *chaugeaut*, na złotem tle — czarny, co nadawało mu charakter skóry *antique*; na przodzie w kształcie dzióba składały się dwie główki kolibrów, przedłużone lśniącemi skrzydłami, miękko obejmującemi kapelusz z obu boków.

Niemniej oryginalnym był szyszak granatowy aksamitny, ułożony szpiczasto, otoczony wokoło prześlicznem lila piórem strusiem, podbicie z brukselskiej koronki.

Dalej prześliczny hełm czarny aksamitny, przybrany wspaniałą koronką *vieil-or*, objętą w klamrę.

Typem niezmiernie dystyngowanego kapelusza był mały cylinderek „Henri IV" z czarnego aksamitu, ozdobiony dwoma skrzydłami, ułożonemi z prześlicznej koronki irlandzkiej, bogato przerobionej złotem.

To znów awiator atłasowy czarny, z ogromnym pufem z wstążki zielonej, o brzegu w czarne paski.

Słowem, że wśród całej karykaturalności obecnej mody nie brak rzeczy pięknych i gustownych, trzeba tylko wiedzieć, gdzie się po nie zwrócić.

Żaden z magazynów natomiast nie zdobył się na puszczenie w obieg typu kapelusza, uznanego za ostatni okrzyk mody w Paryżu, który doprawdy jest już śmiesznie oryginalnym. Składa się on z wązkiej główki i umieszczonych na niej trzech lub czterech kręgach, jeden nad drugim w odstępach kilku lub kilkunastu centymetrów; są one czasem jednej wielkości, czasem stopniowo coraz mniejsze ku górze. Widziałam jeden z czterech równych kręgów mocno marszczonego tiulu, każdy podbity białym aksamitem, ozdobiony na brzegu girlandą niezapominajek, oraz na przodzie dwiema paletami z niezapominajek. Inny znowu składał się z dolnego kręgu największego z białego filcu, ponad nim dwa kręgi z czarnego aksamitu i jeden z walancieny położonej na czarnym jedwabiu; kapelusz podnosi pęk piór strusich amarantowych.

Przy dzisiejszych kapeluszach mamy szerokie pole zużytkowania każdego, bodaj najmniejszego kawałka wartościowej koronki. Szczególniej kapelusze kapotkowe z 30 roku, garnirowane są bardzo tak kolorową aplikacyą, jak koronkami. Nieraz jedyny kawałek przechowany w całości wśród kilku metrów zleżałej koronki, niewystarczający do przeistoczenia bodaj staniczka balowego, nada bogaty charakter kapeluszowi. To samo da się powiedzieć o aplikacyach i galonach, wśród których zawsze da się znaleźć jakiś niezniszczony przez czas kawałek.

Ramo...



Model Defontaine. Fason czarny aksamitny, pióra pervenche (kolor kwiatu barwinka).

Model Germaine. Fason szyszakowaty w tonie pastelowym, rondo pokryte trzema falbankami z weneckiej koronki, mewa umieszczona na główce szalowo opasuje ją poniżej.



Kapelusz „Mil huit cent trente". Model Virot, wykonany z zielonej tafty, przepasany czarnym aksamitem, brzeg objęty i motywa przystrajające barwne, wschodnie.

Kapelusz awiator. Model Virot. Koloru „nuit" (nocy — błękitno-zielono-szarawy) przybrany gałązką kasztanu z doskonałą imitacyą owocu. Wielki biały rajer.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

5)

— Czy tylko pewny jesteś, mój drogi, że to, co rzekłeś, jest prawdą. Rozumiesz przecie, że tysiąckrotnie byłoby to dla nas przykrem i niewygodnem, gdyby ten trzeci wyrzucony został na puste wybrzeże, nie odszukany wprzódy przez swoich starych kompanów. To też mam nadzieję, że jesteś bezwzględnie pewny faktu, o którym mówisz. Rozważ-no to sobie spokojnie!

— Nie wyskoczył.

— Nie, powiadasz?

— Wpadł do wody.

— Biedny chłop! biedny chłop! — Słowa płynęły mu z ust w tonie najszczerszej i najtkliwszej litości. — Przypuszczam, że nie masz najlżejszej wątpliwości co do jego smutnego końca?

— Widziałem, jak tonął. Spadł, bo lina wysunęła mu się z ręki. To niezawodna prawda... prawda święta! Oto, jak się rzecz stała: już liny nie mógł utrzymać... i spadł. Widziałem na własne oczy... Kapitanie, to był twój nóż — dodał John z nerwowym wysiłkiem, zwracając szklany wzrok raz na przybysza, to na mnie, poczem niemal bezmyślnie utkwił go znowu w morzu.

Kapitan wlepił w twarz jego przenikające spojrzenie. Poczem uśmiechnął się łagodnie, zacisnął wargi, jakby chciał gwizdnąć wesoło — i rzekł do mnie:

— Widzę, mój mały, że znasz Johna. John, dobry facet... o tak! Spokojny, cichy, szczery, przejęty na wskróś duchem chrześcijańskim, w samą miarę taki kolega, jakiego taki jak ty chłopczyna potrzebować może. W Johnie Railban nie znajdziesz ani wady pijaństwa, ani brzydkiego nałogu miotania przekleństwami, ani żadnej innej zdrożności. Przyczem jest prawdomówny... istny wzór prawdomowności. Za wszystkie skarby Indyi, nie skłamałby ani razu! Masz szczęście posiadać takiego przyjaciela. Niełatwo i nie zawsze znaleść można podobnego.

Napróżno zwróciłem oczy na „wzór prawdomówności", chcąc się dowiedzieć, w jaki sposób przyjmuje komplementy, którymi go kapitan obsypywał, lecz dostrzegłem tylko zamglone źrenice, pogrążone w stałej kontemplacyi morza.

— Zatem, drogi Johnie, widziałeś, jak umierał? „Kto go widział umierającym?" pytano podsądnego w śledztwie. „Ja, mojemi małemi oczkami" odpowiedział człowiek, nie mijający się nigdy z prawdą. Wiem przytem, że masz dobry wzrok. Zatem... biedny chłop nie żyje. Wpadł w wodę, powiadasz!... Nie dziwię się wcale, że śmierć jego wprawia cię w pewien rodzaj rozdrażnienia i niepokoju, lecz czy nie sądzisz, mój Johnie, że przy całej wspólnej sympatyi dla nieszczęśliwego, byłoby dla nas rzeczą ze wszech miar właściwą, zająć się teraz odczytaniem testamentu? Prawdopodobnie — jak to sam rozumiesz najlepiej — możemy już nigdy nie znaleść się, tak jak dzisiaj wszyscy trzej razem, bo do trójki zaliczam tu obecnego naszego przyjaciela. — Spojrzał na mnie. — Jak się zowiesz, mały. Hę?

— Kasper...

Nie zdążyłem po imieniu wymówić nazwiska, bo przybysz ciągnął dalej:

— Kasper, bardzo pięknie! Otóż pewny jestem, że mały druh Kasper dozna również pewnej melancholijnej rozkoszy, słuchając treści interesującego testamentu.

Oczy przemawiającego połyskiwały teraz wyrazem szatańskiej złośliwości. John, patrząc w nie, podobny był do zranionego zwierza, dogorywającego u stóp myśliwca, który go postrzelił.

— Testament? Co chcesz przez to powiedzieć? Nie wiem... Nie mam testamentu.

— Ależ nie o twój testament chodzi, drogi Johnie, nie o twój! Sądzę, że musisz coś wiedzieć o ostatniej woli... no! Powiedzmy... tamtego. Nie spiesz się, Johnie, zastanów się, pomyśl...

— A niech mnie pioruny zatrzasną, jeśli...

— Cicho, ciszej, Johnie! Pomyśl, że byłoby nieładnie, gdybyś się zaklinał i krzywo przysięgał w obecności Kaspra, naszego małego druha, mającego o tobie najlepsze mniemanie. Przytem nie wątpisz chyba, że wiem, jak szczerym i prawdziwym byłeś przyjacielem utopionego. Znałeś wszystkie jego sekreta. Pewny jestem, John, że gdy pomyślisz spokojnie, przypomnisz sobie niezawodnie wszystko, zwłaszcza, że byłeś obecny przy jego zgonie. Sam powiedziałeś przed chwilą, że widziałeś go, gdy spadał...

John milczał.

— No, no! Przykro mi bardzo, że nalegam, lecz w rzeczy samej, tak nasz mały przyjaciel, jak ja, powinniśmy nalegać o odpowiedź. Bo uważaj, mój drogi Johnie, że w razie gdybyś nie chciał z nami dalej rozmawiać, zmuszony byłbym poprosić cię o pomówienie ze mną gdzieindziej i w inny sposób. Stałoby się to niezawodnie wbrew mojej woli, lecz koniec końców staćby się musiało. Zastanów się tylko, jakiem byłbym to dla ciebie nieszczęściem.

— Dyable!... dyable!

Chrypiący głos Johna brzmiał wprawdzie głucho, lecz teraz dźwięczało w nim coś, co nie było ani obawą, ani nadzieją.

— Jeśli chcesz koniecznie, zgoda... zgoda, jestem dyabłem! Lecz wiesz, że dyabeł zwykł ściągać zaległe długi, powstałe z wszelkiej zdrady. Wszak wiesz o tem?

I zanucił:

> Za zdrady zaległe długi, z wyroku piekielnych kart,
> Życia pozbawił ich czart.

Poczem znowu mówił głosem dziwnie słodkim.

— Tak, Johnie, czy jestem dyabłem, czy nie, czekam na wypłatę. Czy taki szczęśliwy chłop, jak ty, powinien się ze mną targować?! Wszakże, masz Łucyę, czegóż możesz żądać więcej? Obaj chcieliśmy ją posiąść, lecz tobie tylko przypadła w udziale. Ona z utęsknieniem dziś czeka na ciebie. Byłoby to dla niej w istocie bardzo przykrem, gdybym zjawiwszy się u niej, doniósł, że jesteś zamknięty w więzieniu... To tylko przypuszczenie, John! tylko przypuszczenie!... Ale gorsza jeszcze wieść, odsunęłaby w przyszłości od małej Jenny wszystkich konkurentów, mogących ubiegać się o rękę... Pomyśl tylko, jak biedne dziewczę musiałoby się wstydzić ojca, powieszonego z mocy sądowego wyroku. A zdaje mi się, że chyba jesteś jej ojcem...

W chwili, gdy kapitan wymawiał ostatnie wyrazy, John porwał się z miejsca, poskoczył ku niemu i pochwycił go za gardło. Krótko trwała walka... Przekleństwo, poczem jakby mignięcie błyskawicy... i z jękiem śmiertelnego bólu, rozkrzyżowawszy w powietrzu ramiona, towarzysz mój runął na wznak u stóp skalnej ściany.

— — — — — — — — — — — —

Działo się to nie dłużej może, jak chwilę. Krzyk, bryzg krwi... potem milczenie. Jak długo trwało to mi nie, nie umiałbym powiedzieć. Co się stało później? Czy krzyczałem, czy zemdlałem, czy oczy zmrużyłem, czy miałem otwarte? Nie wiem. Przypominam tylko sobie, że gdy powoli powracałem do przytomności, ujrzałem kapitana stojącego nademną, ocierającego nóż w pęczek zielska i mchu, wyrwanego ze szczeliny skały i przyglądającego mi się bacznie.

— — — — — — — — — — — —

Dziś jestem prawie pewien, że w czasie tego co wyżej, życie moje wisiało na włosku. Lecz wówczas byłem oszołomiony i zgnębiony moralnie, by cokolwiek bądź rozumieć.

Kapitan, nie bez wahania, wsunął powoli nóż za pas, zbliżył się nad brzeg skały, spojrzał w głąb i wnet do mnie powrócił.

— Czy należysz do rasy malców, która paple?

Głos jego był jeszcze słodszy niż przedtem, palił mnie tylko oczami, żarzącemi się jak węgle.

Prawdopodobnie zrobiłem gest przeczenia, bo mówił dalej:

— Słyszałeś, jak mnie on nazwał? Nazwał mnie dyabłem... rozumiesz! Jestem w rzeczy samej dyabłem!

W odurzeniu, jakiem byłem owładnięty wtedy, mogłem wszystkiemu uwierzyć, więc nie zastanawiając się wcale wierzyłem w to, co mówił do mnie.

— Jako dyabeł, gdziekolwiek bądź się znajduję, słyszę wszystko, co mówią mali chłopcy. A gdy chłopaki paplą, chwytam ich natychmiast, choćby nie wiem, gdzie starali się ukryć przedemną. Niekiedy przychodzę do nich, gdy leżą w łóżku; niekiedy zaś wyskakuję z pod ziemi, gdy bawią się w ogrodzie. Schować się tak, żebym ich nie widział, nie potrafi żaden. Czy słyszałeś co kiedy o Apollyonie? Ja nim jestem.

Czytałem już coś w mojej książeczce o Apollyonie, więc nie wątpiłem, że mówi prawdę.

— Chwytam takich, jak ty chłopców, gdy się tego najmniej spodziewają, a ojcowie i matki już ich potem nie widzą wcale. Umierają powoli, powolutenku... Dowiesz się jak, jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci chętka wypaplania coś widział.

Nie pragnąłem dowiedzieć się, bo dość miałem tego, co widziałem. Widocznie i on był tego samego zdania, bo utkwiwszy raz jeszcze swój ognisty wzrok w moich oczach, kazał mi wstać i poprzedzając go, schodzić ze skały.

Nie jestem w stanie opisać, co się ze mną działo w czasie tego schodzenia. Co moment zdawało mi się, że jakieś ostre szpony wpijają mi się w moje plecy, i że czuję tajemnicze ręce jakiejś piekielnej potęgi, ściskające mi szyję. Tuż za mną szedł mój nowy towarzysz i śpiewał:

> Sól morska wyżarła mu oczy, ręce zasypał piach,
> Wargi, kochance drogie, złośliwy ogryzł krab...

Gdyśmy nareszcie stanęli na dole, kazał mi wejść do tunelu i skierować kroki ku zatoce Gotowych Pieniędzy.

Tu, pochylił się nad wodą i zaczął ją badać bardzo pilnie, lecz po nieszczęśliwym Johnie nie było i śladu. Zakląwszy strasznie, wdarł się niezmiernie szybko na Skałę Umarłego, po jej północnem zboczu. Ze szczytu spojrzał w głąb morza. I stąd nic nie dostrzegł. Zbiegł więc na dół, zrzucił z siebie odzież, wskoczył do wody i kilka razy tu i owdzie dał nurka. Poczem, widocznie okropnie znużony, wyskoczył na brzeg, zwinął w węzełek: koszulę, spodnie i pas z nożem, zarzucił sobie na plecy i wdrapał się znowu na skałę aż do mnie, oczekującego nań w sennem jakiemś poddaniu się i odrętwieniu.

— Niech go dyabli porwą!... Gdzie się też mógł podziać?!

Ujrzałem wtedy, jak strasznie jest chudy i wyczerpany. Podobny był do zmęczonego obławą i przeziębniętego wilka, bo jak wilk zgrzytał zębami. Skaleczył sobie nogę na jakimś ostrym głazie, więc nie spuszczając ze mnie ani na chwilę swego pałającego okrucieństwem wzroku i trzymając mnie za rękę, zeszedł znowu nad brzeg morza i zaczął przemywać ranę, krwawiącą się nieco.

— Powiedz że mi, mój mały, jak się nazywasz?

Wprawdzie wymieniłeś już imię chrzestne: Kasper... lecz jak dalej?...

— Trenoweth.

— Milion milionów dyabłów! — ryknął.

Zerwał się na równe nogi i chwycił mnie oburącz za ramiona. Strach zmroził krew w żyłach moich. Błękit nieba zakołysał się nademną i ruchem wirowym zakręcił nad moją głową; czarna jakaś mgła otoczyła mnie wokoło, przerznięta tylko dwoma błyskawicami dwu groźnych spojrzeń. Krzyknąłem — i straciłem przytomność.

ROZDZIAŁ V.

O badaniu śledczem, jakiemu uledz musiał majtek Giorgio Rodofani.

Odzyskiwał powoli zmysły wśród szmeru licznych głosów. Wuj Loveday stał pochylony nademną, a nawet jego guziki mosiężne wyrażały jasnym połyskiem swoją dla mnie gorącą życzliwość.

Co się ze mną stało, dlaczego leżałem na piasku, wyciągnięty jak długi, przypomnieć sobie nie mogłem, dopóki oczy moje, ponad plecami wuja, nie spotkały się z oczami kapitana, przeszywającego mnie swoim ostrym wzrokiem.

Stał wśród gromadki rybaków, odpowiadając od czasu do czasu na ich pytania poruszeniem ramion albo głowy, lecz przedewszystkiem zajęty odzyskaną przezemnie przytomnością i oczekujący — jak odrazu odgadłem — co opowiem zgromadzonym.

— Biedny chłopiec — rzekł wuj Loveday — biedny dzieciak! Sądzę, że przeraził go widok tego człowieka.

Pochwyciłem w lot znaczenie spojrzenia kapitana i lekkiem skinieniem głowy dałem mu do zrozumienia, że zastosuję się do jego poleceń.

— No, dzięki Bogu, przychodzi do siebie — ciągnął dalej wujaszek, zwracając się do rozbitka. — Widzisz pan, to nagłe ukazanie się twoje tak go przestraszyło. Jeśli chcesz, mój przyjacielu, żebym był szczery, wyznać muszę, że w obecnym stroju... a raczej w zupełnym braku wszelkiego stroju... proszę bardzo, byś na ścisłe znaczenie wymówionych przezemnie wyrazów zwrócił szczególną uwagę... postać pańska, jest co najmniej nieco dziwaczna.

W odpowiedzi na wahanie, z jakiem mój wuj wygłaszał swe wymuszone przemówienie, pragnąc grzecznie usprawiedliwić się przed obcym, kapitan zadowolnił się wyciągnięciem obu rąk przed siebie i poruszeniem ramion.

— Ach, tak! Jesteś pan prawdopodobnie cudzoziemcem. Dobrze, dobrze! Jakkolwiek skalisty grunt naszego wybrzeża nie jest w ścisłem znaczeniu tego wyrazu gościnny dla przybyszów, mieszkańcy jego w każdym razie nie zasługują na zarzut niegościnności... Kasper! moje dziecko, czy już możesz chodzić? Jeśli możesz, to tu obecny Józef odprowadzi cię do domu; my zaś, o ile środki nasze pozwalają, starać się będziemy jak najżyczliwiej i najszczodrzej przyjąć i ugościć cudzoziemca, nieszczęśliwie wyrzuconego na nasze skały.

Wujaszek zdawał się uważać krasomówczą swadę swego odezwania się za rzecz słusznie należną cudzoziemcowi. Skąd to przekonanie? Czy z dziwacznego wyobrażenia o uprzejmości zagranicznej, czy z wniosku, wyciągniętego pośpiesznie z nagle zrodzonego w umyśle pojęcia, że kwiecistość wyrażeń, nie będąc codziennym językiem jednej połowy świata, musi być zwykłą mową drugiej jego połowy? Nie wiem.

Spostrzegłem jednakże, że rybacy uważali wuja za jedynego człowieka, mogącego wyprowadzić ich z trudnego położenia, w jakiem postawiło ich niespodziane ukazanie się nad zatoką jedynego rozbitka.

— Chciej sam powiedzieć, mój przyjacielu, czy na skałach nie spoczywają przypadkiem... przepraszam za wyrażenie... trupy, służyć mogące za dowód smutnej nocnej katastrofy?

Cudzoziemiec zrobił znowu gest nic nie oznaczający.

— Mój Boże! mój Boże! zapomniałem... Kasper! gdy wrócisz do domu, przeczytaj sobie pilnie w biblii rozdział o Wieży Babel. Konfuzya, jaka wynikła przy tej budowie, uderza szczególnie swoją przykrą rzeczywistością w chwili, gdy zbieg okoliczności stawia nas wobec człowieka, którego... choćby tylko dla metafory... pozwalam sobie nazwać mieszkańcem Mezopotamii.

Nikt wujaszkowi na to nie odpowiedział, on zaś, uznając milczenie za potakiwanie, dwukrotnie jeszcze z wielkiem zadowoleniem własnem, a przerażeniem rybaków, nazwał obcego Mezopotańczykiem, poczem ciągnął dalej:

— Jest rzeczą widoczną, że ten gentelman... ochrzcijcie go, jak wam się podoba... potrzebuje koniecznie posiłku i odzienia. Ponieważ sądzę, że jedno i drugie znajdziemy łatwo w Polkimbra, więc najlepiej będzie, jeśli z nim tam pójdziemy. Przypuszczam, że propozycya moja, w pośród zgromadzonych otrzyma jednomyślną aprobatę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

Idzie rynkiem *pierwsza-druga*
Trzeci wspak się do nich śmieje,
Pewnie idą kupić *całość,*
Bo jakoś niebo ciemnieje.

Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

Oho! Już się *drugie-trzecie!*
Ociosałeś *pierwsze-drugie?*
Drugie-pierwsze schowaj przecie
Z głupstwa robisz sprawy długie!
Jak do *trzeciej-drugiej* gadać!
A tu już zaczyna padać.
Całość znów na deszczu stoi..
Jak się ten drab pracy boi!...

Okienko.

Ułożył J. Żugaj, Wilamowice.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

	1			2			3
1	a	a	a	a	a	a	a
	a			a			a
	a			b			b
2	b	b	b	h	h	k	k
	k			k			m
	m			r			r
3	r	r	r	r	u	u	z

Znaczenie wyrazów: 1. Prorok izraelski. 2. Postać biblijna. 3. Kupiec na małą skalę.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie.

A s a n b i e s d l a p i e k ł a!

Bilet wizytowy.

Ułożył J. Żugaj, Wilamowice.

Z liter umieszczonych na karcie wizytowej ułożyć zatrudnienie tego jegomościa.

Erwin Rostok
Kęty

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Kraków.

Początkowe litery odpowiednio uzupełnionych wyrazów, czytane z góry na dół, podadzą nam zdarzenie z dni ostatnich, które wstrząsnęło całą Austryą.

— ara
— den
— ara
— lfa
— era
— ela
— ora
— ron
— oda
— ran
— ana
— lko
— ara
— ora
— awa
— zor
— ata
— den
— oda
— mam
— mil
— ora
— oga
— gor
— ral

Arytmogryf.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Zamiast liczb wstawić głoski, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko miasta dziś powiatowego, dawniej obwodowego, w Galicyi Wschodniej.

8	9	4	1	10	4	1
4	11	12	2	13	12	14
8	15	1	3	1	5	6
2	10	17	4	1	7	17
8	10	19	1	17	20	10
15	3	16	5	18	17	3
19	14	10	6	20	17	10

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Galicyi Wschodniej. 2. Miejscowość graniczna w Galicyi Zachodniej. 3. Miasteczko w Galicyi Zachodniej. 4. Miasteczko, stacya kolei i salina w Galicyi Wschodniej. 5. Stacya kolejowa na przestrzeni Jarosław-Sokal. 6. Stacya kolejowa na przestrzeni Jarosław-Kraków 7. Miasteczko i stacya kolei w Galicyi Zachodniej przy lini transwersalnej.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

T a m t a m a t e g o d r a b a C z e c h a!

Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

Pierwsze i drugie wszystkie panie mają,
Drugiego z pierwszem w sklepach używają.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Menczak, Radymno.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ł y ż k a, d a r y, D a m m, o c o, k o r z e c, w o l a, e j, u

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Demidowa:* **Podróż w Rosyi południowej i Krymie.** 2 tomy z illustracyami.

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Młodziutkiej. Do konserwacyi zębów nadają się najwięcej zalecane przez lekarzy eliksir, proszek i pasta „Tymentol". I my mieliśmy nie jeden wyraz uznania za nie.

Stroskanej, Tarnów. Jeżeli chodzi tylko o środek wzmacniający włosy i niszczący łupież, takim właśnie jest „Esencya i mydło tataro-chmielowe", przygotowane przy udziale sił lekarskich Centr. Laborat. Chemiczn. w Warszawie.

M. R., Przemyśl. Nic nieszkodzi. — My ze swej strony możemy tylko zalecić puder „Delicya", dopiero wtedy, gdy go się porówna z innymi, można stwierdzić olbrzymią różnicę. Równiez cieszy nas, że Pani jest bardzo zadowolona z mydeł Centraln. Laborat. Chemicznego.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można we Lwowie, ul. Akademicka L. 21 w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.